NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 21 września 1907. Nr. 38.

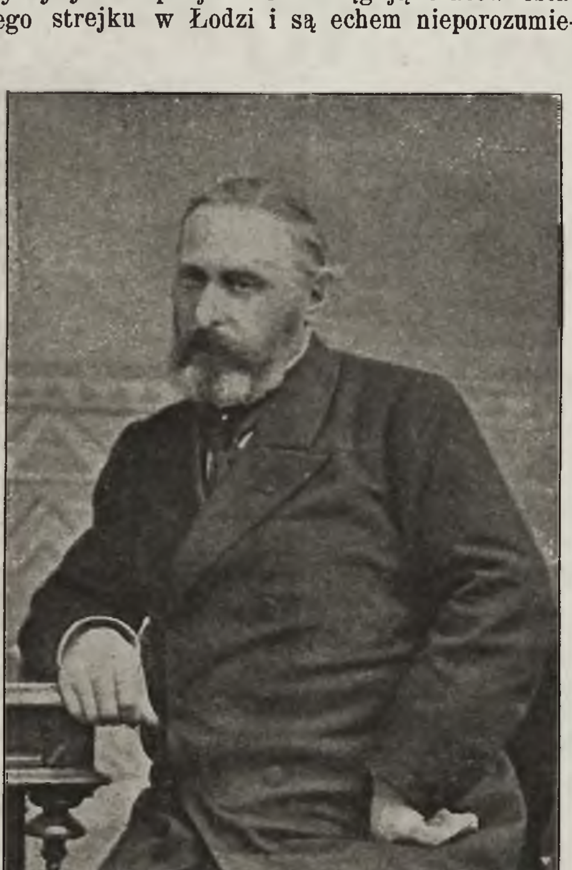
Potworny mord w Łodzi. (Treść na str. 2).



Potworny mord w Łodzi.

(Do illustracyi tytułowej.)

Wstrząsająca wieść nadeszła przed paru dniami z Łodzi, wieść o potwornej istotnie zbrodni, jakiej dopuścili się robotnicy fabryki wyrobów wełnianych i bawełnianych na osobie dra Mieczysława Silbersteina, współwłaściciela i dyrektora fabryki. Przyczyny okropnej zbrodni sięgają czasów ostatniego strejku w Łodzi i są echem nieporozumienia, trwającego już od dłuższego czasu na tle ekonomicznem. Nieporozumienie to zostało niedawno załagodzone w części i robotnicy wrócili po strejku do pracy, a niespełnionym został tylko jeden z ich strony podnoszony warunek, mianowicie żądanie wypłacenia 18.000 rubli za czas trwania strejku. Od czasu wybuchu zatargów między dyrekcyą a robotnikami, otrzymywał dyrektor Silberstein kilkakrotnie wyroki i ostrzeżenia, a przed dwoma tygodniami nadesłano mu zapowiedź, iż będzie zabity. To też rodzina, która o tem wiedziała, prosiła go, aby z Łodzi wyjechał. Mimo wszystko dr. Silberstein chciał wytrwać na stanowisku. Łudził się, iż robotnicy, wobec których postępował zawsze z wyrozumiałością i życzliwością, nie potrafią posunąć się do zbrodni i skalać swych rąk krwią niewinną. I zawiódł się srodze...



Smierć francuskiego poety: Fr. Sully Prudhomme.

W piątek 13 bm. przybył dr. Silberstein rano do fabryki. Wnet po jego przybyciu zjawili się w kantorze delegaci robotniczy z prośbą, by udał się z nimi do oddziału pakunkowego, gdzie czeka nań kilkuset robotników, chcąc się porozumieć. Dyr. Silberstein nie podejrzywał nic złego, udał się tedy sam na wskazane miejsce, gdzie istotnie było zgromadzonych około 600 robotników. Zażądali oni, aby dyrektor wypłacił im natychmiast przypadającą za czas strejku należytość. Dyrektor Silberstein oświadczył na to, że nie może na własną rękę uczynić zadość ich żądaniu, przyrzekł jednak przedstawić sprawę Radzie akcyonaryuszów. Oświadczenie to wywołało burzę. Robotnicy poczęli dr. Silbersteina lżyć i odgrażać mu się, przyczem zapowiedzieli, że nie wypuszczą go dopóty, dopóki nie otrzymają żądanej sumy. Naznaczywszy mu ostatecznie godzinę 6 wieczorem, jako czas do namysłu, zamknęli go w małym, dusznym pokoju, odcinając zupełnie od świata. Równocześnie obsadzili wszystkie telefony i nie pozwolili nikomu ani wyjść z fabryki, ani telefonować.

Kiedy upłynął wyznaczony przez robotników termin, wyprowadzono dyr. Silbersteina z zamknięcia i stawiono — jakby więźnia — znowu przed zgromadzonych robotników. Tam zapytano go, czy gotów jest zapłacić za czas strejku. Kiedy zaś dyrektor Silberstein odpowiedział odmownie, wówczas z tłumu otaczających go robotników padło kilka strzałów, które nieszczęśliwego dyrektora położyły trupem na miejscu. Wówczas robotnicy rozbiegli się na wszystkie strony. Wieść o bestyalskim mordzie, popełnionym przez kilkuset robotników na bezbronnym człowieku, wieść tak potworna, że niemal nieprawdopodobna, rozeszła się lotem błyskawicy po całej Łodzi, budząc wszędzie oburzenie i wstręt do sprawców zbrodni.

Zamordowany dyrektor był człowiekiem młodym jeszcze, liczył zaledwie 31 lat. Po ukończeniu szkoły średniej w Łodzi, uczęszczał na uniwersytet w Heidelbergu, gdzie zyskał stopień doktora chemii. Pochodził z rodziny znanej w Królestwie z uczuć patryotycznych i z aspiracyi kulturalnych.



Nowa miłość byłej królowej; Hr. Ludwika Montignoso, b. królowa saska.

Rycina tytułowa przedstawia chwilę, gdy dyrektor Silberstein oblany krwią, pada bez życia u stóp swych oprawców.

Śmierć francuskiego poety.

Francya opłakuje swego najwznioślejszego poetę. W Chatenay, pod Paryżem, zmarł Franciszek Armand Sully-Prudhomme. Wielki a skromny, rozgłośny na świecie całym a cichy w duszy, wśród smętnych zieleni i przepychu kwiatów przeszedł z małego domku w wieczne krainy ten, co kochał i tworzył. Żył tęsknotą serc ludzkich, trwogą i lękiem dusz przed przeznaczeniem, nadzieją w piękno, wiarą w prawdę, ukochaniem dobra; miłość więc opiewał, miłością świat obejmując. Zaduma życia ludzkiego szeptała mu w melancholii wieczorn krwawe męki serca ludzkiego, rozpacze zwątpienia, a on zakuwał je w śnieżny marmur i jasne złoto i rzeźbił, cyzelował, zdobił swe strofy poetyczne. Struny jego harfy eolskiej łkały łzami dusz tęsknych, a cichy ich dźwięk rozchodził się po świecie całym. Świat cały uczcił go mianem poety z łaski Bożej.

Sully-Prudhomme urodził się 16 marca 1839 r. w Paryżu. Po ukończeniu szkół średnich rozpoczął studya w politechnice, opuścił ją jednak, bo suche kreślenia i wyliczania cyfr nie mogły podsycać ognia świętego, jaki



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Marynarze japońscy w Wiedniu: Grupa marynarzy japońskich z admirałem Goro-Ijuinem (X).

żarzył się w piersi jego. Szukał ciszy, lecz musiał zarazem pracować na życie.

Został dependentem u notaryusza, nie wiele jednak załatwił kontraktów, gdyż już pierwszym tomem poezyi zwrócił na siebie powszechną uwagę. Francya ujrzała, że narodził się nowy poeta. Ze „Stłuczonego wazonu“ posypały się najprzepyszniejsze kwiaty o cudnym zapachu. Jeden tom poezyi następował po drugim, budząc wszędzie podziw dla formy i uwielbienie dla treści. W roku 1881 stał się „Nieśmiertelnym“ przez wybranie go członkiem Akademii francuskiej; w



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Marya Tarnowska.

roku 1888 mianowano go kawalerem Legii honorowej, w roku 1901 przyznano mu nagrodę Nobla, która jednak poecie sprawiła wiele przykrości; Prudhomme znaczną część olbrzymiej sumy oddał na rozmaite cele, choć sam był niezamożny; chciwość jednak ludzka domagała się całej nagrody.

Pogrzeb odbył się w Chatenay; w Paryżu w najwspanialszej świątyni, w kościele Maryi Magdaleny odprawiono nabożeństwo żałobne. Nikt mowy nie wygłosił, bo najpiękniej i najżywiej mówił o sobie zmarły własnymi utworami, które pamięć o nim zawsze podtrzymywać będą.

Nowa miłość byłej królowej.

Opinia publiczna bywa rzeczą zmienną, a chwiejności jej doświadczają nawet osoby ukoronowane. Niedawni wybrańcy tej wszechwładnej pani znajdują się naraz w zapomnieniu, a co gorsza jeszcze, często w poniżeniu. Tego losu doświadcza obecnie na sobie była królowa saska. Gdy rozeszła się po całym świecie wieść o skandalu niebywałym na dworze królewskim w Dreźnie, o ucieczce królowej i jej miłości nieplatonicznej z nauczycielem własnych dzieci, sympatye wszystkich, z wyjątkiem chyba nielicznych oficyalno-urzędowych kół, były po stronie romansowej królowej. Przeciw dostojnemu małżonkowi zwróciły się oskarżenia, iż nietylko nie potrafił pielęgnować tej pięknej róży, otoczyć ją swoją troskliwością, lecz nawet sam mroził chłodem obojętności, a nieraz i gburowatości ten piękny kwiat na królewskim tronie. „Miłość nie sługa, nie zna co to pany“, głoszono na usprawiedliwienie zakazanego uczucia; prawo serca uznano za ważniejsze od wszelkich praw państwowych i królowa Ludwika otoczoną była miłością świata całego. Dzisiaj okoliczności zmieniły się najzupełniej na niekorzyść abdykującej królowej, czego winę ponosi ona sama. Pani opinia okazała się w tym wypadku zupełnie sprawiedliwą. Poprzednio brała w obronę uciśnioną miłość, dzisiaj karci, aby wyrazić się odpowiednio do wysokiej godności bohaterki świeżego romansu, ...przynajmniej niestateczność. O najnowszym występie byłej królowej można mówić tylko jako o romansie, bo miłością nie podobna nazwać tak zmiennego uczucia. Po opuszczeniu dworu saskiego była królowa znalazła się w zupełnie dodatnich dla siebie warunkach; jako hrabina Montignoso korzystała z zupełnej swobody, byle tylko nie wykraczała poza pewne normy. Majątkowo zabezpieczona, żyła szczęśliwie z ukochaną córką. Stanowisko to zadowalało dwór drezdeński, który miał nawet udzielić zupełnego przebaczenia królowej, jeżeli nie będzie zajmowała sobą opinii publicznej. Niestety, rozchodzi się po świecie nowa wieść o niewygasłym żarze serca królowej. Hrabina Montignoso, która liczy obecnie już lat 37, odczuwa zapały młodzieńcze dotąd i pragnie zawrzeć związek małżeński z młodym, dwudziestosześciioletnim tenorem włoskim, p. Fosellim. Jest to dla dworu saskiego nowy cios, który obraca w niwecz pojednawcze chęci króla. Po ukazaniu się tej wieści o nowem małżeństwie, starano się zaprzeczyć rozsiewanym pogłoskom, uważając je za plotki, pochodzące z kół nieprzyjaznych hr. Montignoso. Wieść ta jednak sprawdza się i związek ma być wkrótce zawartym. Nikt nie spodziewa się, by był szczęśliwym i trwałym, czynione są też starania, by do niego nie dopuścić.



Fot. Scattola, Wenecya.
Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Hr. Kamarowskij.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Adwokat Prilukow.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Naumow, zabójca Kamarowskiego.



Fot. Scattola, Wenecya.
Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Mordercę hr. Kamarowskiego, Naumowa, prowadzą karabinierzy włoscy do więzienia.



Sensacyjna tragedya w Wenecyi: Więzienie św. Marka w Wenecyi. Okna celi gdzie osadzony został morderca hr. Kamarowskiego, Naumow (X)

Japońscy marynarze we Wiedniu.

Cicha i nieznana do niedawna Japonia nie przestaje obecnie zajmować sobą świata całego. Jak człowiek, który po długich latach poniżenia i zapomnienia naraz wybił się ze swego upadku i pyszni się teraz ze zdobytego stanowiska, ciągle głosząc swą nową wielkość, tak i to wschodzące państwo azyatyckie bardzo przypomina wzbogaconego parweniusza pomiędzy arystokracyą pierwszorzędnych mocarstw. Zamiast korzystać z odniesionych zwycięstw wewnątrz kraju, wzmagać przyrodzonego ducha narodowego, rząd japoński stara się o ile możności najzupełniej naśladować zwyczaje starego świata.

Jak nieprzywykłemu do fraka dorobkiewiczowi niewygodnie będzie w tym stroju, a jednak nosi go, choć niezgrabnie, byle tylko dorównać pod każdym względem swemu wzorowi, tak też i Japonia przyodziewa niejako europejski strój mocarstw, by niczem nie różnić się od swych najświeższych towarzyszy. Niedawno czytaliśmy o udzieleniu przez mikada hrabiowskich i baronowskich tytułów różnym dostojnikom japońskim, choć naród japoński nie zna tego rodzaju odznaczeń; czyni się to więc dla naśladowania Europy. Wogóle Japonia sprawia wrażenie, jakby stała się wielką nie przez wewnętrzną moc swego ducha, co jest istotnem znamieniem wielkości, lecz przez wypychanie się w ciasne ramki europejskie, co na dalszą metę nie okaże się tak bardzo dodatniem.

Jednym z ostatnich występów Japonii na modłę europejską była wizyta eskadry japońskiej w portach wielkich mocarstw. Po odwiedzinach prawie całego zachodu i południa Europy, o czem zdawaliśmy sprawozdanie Czytelnikom w poprzednich numerach, zawitali japońscy goście do Austryi, zarzucając kotwicę w Tryeście. Po zwykłych uroczystościach cały korpus oficerski dnia 11 b. m. udał się do Wiednia, gdzie został przyjęty na specyalnej audyencyi przez cesarza. Na cześć gości ze Wschodu wydany został obiad w Schönbrunie. Przyjazdu azyatyckich marynarzy oczekiwały na ulicach tłumy publiczności, żądne oglądania bohatera z pod Czuszimy, dowódzcą bowiem tej eskadry jest sławny admirał Goro Ijuin.

W drodze na Sybir.

Los przestępców w Rosyi jest bardzo ciężki, cięższy niż w któremkolwiek innem państwie. Rząd bowiem wysyła ich za karę do ciężkich robót,



Nowy gmach »Sokoła« w Kałuszu: Prezes »Sokoła« sędzia Kajetan Kosacz.

albo co najmniej na przymusowe osiedlenie na Sybir. Dłuższy pobyt w mroźnej, śnieżnej krainie, bardzo rzadko zamieszkanej, jest karą nadzwyczajnie surową. Szczególniej zaś przykre i dla zdrowia wprost zabójcze są ciężkie roboty w kopalniach sybirskich.

Zsyłka na Sybir spotyka nietylko zbrodniarzy, ale i przestępców politycznych. Tych nawet znacznie więcej kara ta spotkała. Wielu ich żyje tam dotąd, wielu zginęło marnie, nie mogąc znieść surowości klimatu, lichego pożywienia i pracy, przechodzącej siły ludzkie.

To też skazani na dłuższy przymusowy pobyt w Syberyi uważają się za przepadłych dla kraju i rodziny. Żegnają się, bez nadziei ujrzenia ich kiedykolwiek w przyszłości. A nietylko sam pobyt na Sybirze, ale i droga na miejsce przeznaczenia jest męcząca i okropna. Pod ścisłym dozorem wojska lub żandarmów, odbywają skazańcy drogę albo w dusznych wagonach pociągów, albo w lichych wózkach, albo też całymi etapami pieszo. Wielu z nich pada w drodze z chorób, ran, głodu, niewygód.

Rycina nasza przedstawia transport oddziału przestępców politycznych, między tymi żołnierzy oskarżonych o bunt, skazanych na roboty i osiedlenie na Sybirze.



Nowy gmach »Sokoła« w Kałuszu: Wspólny obiad w sali nowego gmachu

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

37 Ciąg dalszy.

Weszli w niski, sklepiony kurytarz, zaduszny z powodu bliskości kloaków więziennych, i po pewnej chwili znaleźli się na podwórcu, skąpo oświetlonem latarniami.

Dozorca poprowadził Bala do swego mieszkania, złożonego z jednej izby i wskazując na tapczan, przykryty kocem, rzekł:

— Tu się prześpisz, a skoro świt, zbudzę cię, dam stówkę i wypuszczę.

— Dziękuję wam ojcze — zatoczył się Bal.

— Trzymaj się — zawołał dozorca — bo łeb sobie rozbijesz, a ojca chcesz widzieć.

— Bardzo was proszę.

Dozorca podszedł do fotografii, wiszącej nad łóżkiem i zdjąwszy:

— Na, patrzaj... to ja, a to on — pokazywał palcem.

— Biedny mój ojciec, biedny ojciec — jęknął Bal — już ci nie do życia...

— Ot dobry syn z ciebie... a widzisz?

— Mroczy mnie... chyba jutro.

— Oj, nie masz ty głowy ojca twego — narzekał dozorca — śpij!

Bal rozbierał się niezdarnie, a dozorca zawiesiwszy fotografię, rzekł:

— Po co się rozbierasz? za cztery, pięć godzin — patrzał na zegarek — obudzę cię i musisz iść.

— To się ubiorę... a teraz spać.

Nad ranem próbował dozorca obudzić Bala, trząsł nim, szarpał, oblał mu głowę zimną wodą, ale dobudzić się nie mógł. Bal bowiem postanowił zbadać po dniu wejście do kurytarza i do furtki wolności.

Dozorca zakląwszy dosadnie, zatrzasnął drzwi za sobą i wyszedł.

Bal przeciągnął się, wstał, otarł zmoczoną głowę i rozglądał się po izbie, małej, sklepionej, z oknem zakratowanem, wychodzącem na podwórze.

Wczoraj przy rozbieraniu zauważył, że dozorca ów klucz pożądany schował do szuflady stolika.

Przez jakiś czas nasłuchiwał kroków na kurytarzu i w chwili zupełnej ciszy, otworzył szufladę, wyjął klucz, dokładnie odbił go na chlebie i następnie ów skarb położył w tem samem miejscu.

Z kieszeni wyjął odbicie otworu, było dość wyraźne, ale sam klucz miał głębokie wcięcie, niewidoczne w zwykłym otworze zamku.

Połowę zadania spełniłem, pomyślał z radością, mam furtkę wolną, teraz idzie o zbadanie terenu i uwiadomienie więźniów.

Około ósmej godziny wszedł dozorca do swej izby, a widząc Bala leżącego na tapczanie z papierosem w ustach, mówił z dobrotliwym uśmiechem:

— Twardy masz sen, nie jesteś zdatny na dozorcę... cóż wyspałeś się?

— Dzięki wam bardzo dobrze... tylko pusto mi w brzuchu... zjadłbym.

— To zejdźmy w dół, dostaniem tam herbaty, a w sekrecie kieliszek wódki.

Przez ciemnawy kurytarz, krętemi schodami zeszli w dół i boczną drogą, przez kurytarze i kurytarzyki dostali się do obszernej izby, oświetlonej skąpo dwoma zakratowanemi oknami. W rogu szumiał wielki samowar, na wąskim bufecie stały przekąski pospolite, nad któremi czuwała gruba, niemłoda kobieta z rysami twarzy, zacierającemi się w tłuszczu.

Bal usiadł przy zakratowanem oknie i rozmawiając, spoglądał bokiem na obszerne podwórze, po którem snuli się żołnierze i niższa służba.

— Mówiliście Piotrze Antonowiczu, że macie dużo więźniów, a nie widzę tu żadnego. Kiedyż idą się przejść?

— Według porządku, partyami.

— A kiedyż wychodzą ci — wskazał na piętro, gdzie byli towarzysze uwięzieni.

— Ci zejdą dziś o piątej.

— Czy tak każdego dnia?

— Nie — ich kolej przypadnie na trzeci dzień.

— Jak to?

— Ot nierozgarnięty z ciebie — uśmiechnął się — słuchaj mnie. Dziś mamy wtorek i przeprowadzą tę swołocz o piątej godzinie... a na trzeci dzień znów o piątej, kiedyż to będzie?

— Rozumiem, więc w piątek.

— No tak, jeżeli naczalstwo nie zmieni porządku.

— A zmienia często?

— Cóżeś taki ciekawy? — roześmiał się — ty niesposobny do naszej służby i nie przyjmą cię.

— Ja też nie będę się prosił Piotrze Antonowiczu, lubię swobodę, a pytam się tak sobie, aby wiedzieć, czy naczalstwo kapryśne.

— Oj ty głupi — kiwał głową z politowaniem — to nie żaden kaprys, ale bywa, że zjedzie generał na przegląd, albo zarządzą rewizyę całego oddziału, albo wykryją jakieś oszustwo... ot i zmiana będzie.

— Piotrze Antonowiczu, dobrze mi z wami, że już trudno lepiej, ale muszę przygotować się do drogi, nie mógłbym wyjść?

— Teraz nie. Bramą nie wyjdziesz, bo zaraz śledztwo, kto ty, skąd, jakim sposobem i przesiedziałbyś rok albo i dłużej w śledztwie. Wieczorem sam cię zaprowadzę i wypuszczę.

— Czy przez bramę?

— Boże zmiłuj się, jak ty nie znasz przepisów... Nie przez bramę, ale ot przez tamten kąt — wskazał ręką na zakątek podwórza.

Bal spojrzał uważnie w oznaczonym kierunku i szepnął:

— To tam kurytarz? bo nic nie poznaję.

— Nie pamiętasz po pijanemu. Tam są kloaki, a obok nich niski i ciemny kurytarzyk.

— Aha... rozumiem... Piotrze Antonowiczu, a możeby po kieliszku?

— Jak twoja wola, można.

Wstał i okrążywszy bufet, wszedł do małej komórki.

Gospodyni, nie pytając się, podała małą flaszeczkę i kieliszki.

Wypili, a gdy usiedli na dawnem miejscu i jedli kiełbasę z kapustą, wszedł Wasyl Piotrowicz, przywitał się, a przysiadłszy do stołu rzekł z uśmiechem:

— Nu, Piotrze Antonowiczu, wy macie dziś szczęście. Macie syna Fiodora Konstantynowicza w gościnie i wkrótce pozbędziecie się tego hałaśliwego więźnia, który raz w raz podaje skargi.

— Z Kościa rad jestem, ale z tamtym wiedziałem dawno, że będzie wisiał.

— Któż on taki? — spytał Bal.

— Polak, buntownik — mówił twardym głosem Piotr Antonowicz — siedział tydzień w ciemnicy za hardość, a teraz dałem go pod numer trzydziesty drugi — wskazał na pierwsze piętro — ot miło było patrzeć — uśmiechnął się — jak zawołałem na niego: Muszkarski, myślał że go wypuszczą, a ja jemu papier ze sądu wojennego i mówię: ot doczekałeś się szubienicy. Zbladł, zatrząsł się, ale taki zawzięty buntownik, że powiada, dziś oni mnie powieszą, a jutro ich zabiją. Trąciłem go w bok aż się zatoczył, bo czyż nie bić takiego sukinsyna?

— Wasza prawda — uśmiechnął się Wasyl Piotrowicz i dalej rozmawiali o swych sprawach.

Nazwisko Muszkarskiego nie było obce Balowi, znał go osobiście. Był to młody człowiek, entuzyasta, który należąc do endeków, gorliwie agitował między ludem i zachęcał do oporu przeciw nadużyciom biurokratycznym. Bal postanowił go uwolnić, jeżeli ma uciec czteru, może nciec i piąty.

Gdy znalazł się znów sam w izbie dozorcy, korzystał ze samotności i na wszelki wypadek napisał karteczkę, uwiadamiającą aresztowanych towarzyszy, że będą wolni w tych dniach.

Lecz po chwili podarł kartkę, bo jeśli uwolnienie się nie uda, ileż oni przecierpią? Następnie mogą się zdradzić ruchem, wyrazem twarzy, szeptami? Przeszedł w myśli ich właściwości charakteru, byli odważni, pełni zapału i poświęcenia dla partyi, ale czy nie zmieniło ich więzienie i oczekiwanie pewnej śmierci?

Z drugiej strony, jeśli kartkę z planem ucieczki powierzy pisarzowi, który dotychczas pośredniczył, a ten nie odda, albo przeczyta? Wówczas ich zguba jest pewna, bo forty zamurują, a ich tem srożej ukarzą, jako naczelników rewolucyi, gdy o nich tak dba partya i dąży do ich uwolnienia.

I tak źle i tak niedobrze. Spacerował po zamkniętej izbie, a ile razy podchodził do okna, widział ten zbawczy kąt i utajoną furtę.

Wreszcie namyślił się, siadł i napisał do Witkosławskiego, który ze swej natury był małomówny i powolny.

„Jeśli w ten piątek lub następny poniedziałek otrzymacie wy, albo Morzyński lub Burtowski paczkę tytoniu z firmą Kogena, przygotujcie się wraz z Gwalberskim i Muszkarskim z numeru 32 do ucieczki. W czasie spaceru o godzinie piątej zajdziecie w pięciu do wychodka kloacznego w obrębie placu spacerowego, skręcicie na prawo trzy kroki i z lewej strony w murze znajdziecie kurytarzyk niski, wąski. Na samym końcu będzie furta otwarta i zawiniątko z ubraniami. Dorożki będą czekały na Zakroczymskiej. Ostrożność, uwaga, cierpliwość, a przedewszystkiem milczenie".

Kartkę zwinął starannie i postanowił w czasie obiadu uprosić Wasyla Piotrowicza o wręczenie jej Witkosławskiemu.

O pierwszej godzinie wszedł Piotr Antonowicz i rzekł grubym głosem:

— Nu, nakarmiłem to bydło, połowa z nich nie chce żreć, tak będzie dla świń. Chodźmy na obiad.

Do ich stołu przysiadł się Wasyl Piotrowicz, ale z taką pogardą mówił o uwięzionych, że Bal zdecydował się raczej poprosić o to Piotra Antonowicza, i gdy zostali sami rzekł:

— Daliście mi ojcze dobry przykład, jakim powinien być przyjaciel, przygarnęliście mnie, przenocowali, ochronili od rozboju.

— Takim powinien być przyjaciel, bo cóż mi po nieużytym? — powiedział sentencyonalnie dozorca.

— I ja chcę iść w ślady wasze. Przypomniałem sobie, że mam tu kolegę i przyjaciela, chciał zarobić trochę grosza i popadł w biedę. A ratował mnie, leczył, gdym był chory, pomagał, gdym głodował, czy nie powinienem mu jeśli nie pomódz, to chociaż pocieszyć?

— Niby to tak — podrapał się dozorca w głowę, bo nie w smak była mu prośba taka.

— Zostawił w domu chorą żonę i troje dzieci, pewno myśli, że głodem przymierają, ale Pan Bóg ulitował się, znaleźli się dobrzy ludzie, poratowali i ona zdrowsza.

— Któż on taki?

— Z fabryki żelaza... Witkosławski.

— A gdzie siedzi? pod którym numerem?

— Nie wiem.

— Hm... poszukam, może i u mnie.

Wyjął książeczkę i szukał w spisie, po chwili spojrzał podejrzliwie na Bala i rzekł:

— Jest taki... ale to niebezpieczny socyalista, zbój!

— Ależ ojcze, on tylko złakomił się na pieniądze i przewiózł paczkę. Ot nieszczęście i nic więcej.

— Nie, daj mi spokój, obciążyłbym duszę, gdybym takiemu pomógł.

— On jednak waszego chrzestniaka karmił, leczył, ochraniał... Pozwólcie mi ojcze być dobrym przyjacielem, jak wy byliście dla mego ojca.

— My co innego, my ludzie uczciwi, a ten łotr niech ginie.

— Czyż prośba waszego chrzestniaka niczem dla was? Chcecie mi zatruć waszą gościnność?

— Hm... kiedy już tak prosisz, napisz kilka słów, zaniosę... ale wpierw odczytam.

— Macie słuszność ojcze, zaraz napiszę.

— Nie tu, ale w mojej izbie.

Bal w izbie dozorcy napisał kilka słów pociechy po rosyjsku, dał do przeczytania, ale składając kartkę podsunął zręcznie swoją dawną i dał dozorcy, który wychodząc rzekł z progu:

— Nie podoba mi się twoja przyjaźń z takim człowiekiem, a może i do ciebie przylgnęło coś z niego?

Zaczęła się chwila drażniącego i niespokojnego oczekiwania. Jeśli dozorca zajrzał do kartki, zobaczył pismo polskie, nietylko nie powiedzie się ucieczka, ale on sam zginie.

Rozejrzał się po izbie i dostrzegł stary rewolwer na stole. Ucieszył się, szybko otworzył szufladę, w której widział naboje, nabił broń i postanowił nie dać się wziąć żywcem i drogo sprzedać życie.

Minuty wlokły się nieskończenie, już minął kwandrans, jeden, drugi, trzeci, nareszcie posłyszał gwar i tupot licznych kroków.

— Idą po mnie! — szepnął.

Klucz w zamku zagrzytał i w progu stanął dozorca, który zamykając drzwi za sobą rzekł:

— Ty Kościu nigdy mnie nie proś o takie rzeczy, to grzech.

— Dobrze ojcze... dziękuję wam, a ucieszył się?

— Nie wiem, wcisnąłem mu w garść papier i poszedłem.

O zmroku wydostał się Bal niespostrzeżony przez furtkę i najpierw udał się do znajomego towarzysza, ślusarza, prosząc go o zrobienie klucza, według wzoru z chleba.

W piątek popołudniu, ku zdziwieniu Logiki

i Wandy, poprosił ich Bal, aby przygotowały sutą kolacyę, gdyż zaprosił pięć osób.

— Na którą godzinę? — spytała Wanda.

— Przed szóstą będą tutaj. Goście nie będą wybredni, byle było dużo — zaśmiał się.

Już o piątej był na Zakroczymskiej i z drżeniem niecierpliwości i niepokoju patrzał na stok pagórka.

Minęło piętnaście minut, pół godziny, znów upłynął kwandrans oczekiwania. Bal wypatrywał oczy.

Zmrok listopadowy zapadał, w zaułkach ulic ściemniło się, wreszcie zjawiła się jakaś postać wysoka w umówionem miejscu.

— To Morzyński — szepnął Bal do siebie — uratowani!

W dziesięć minut zeszli się wszyscy, Bal witał ich serdecznym uściskiem ręki i szepnął adres Logiki wskazując na dorożki.

— Na Marszałkowską! — zawołał głośno do swego dorożkarza.

Tej samej nocy wyjechali wszyscy za paszportami, dostarczonymi przez partyę, zagranicę.

XVI.

Nastały czasy reakcyi.

Już mijał dziesiąty dzień od czasu otrzymania wyroku partyjnego i von Plessen upewnił Gołubiewa, że przy panującej surowości rządów, rewolucyoniści ucichli zastraszeni i radzi są, gdy sami mogą wymknąć się z kraju. Sekretarz bardzo chętnie wierzył tym słowom, ale mimo to przy każdem wyjściu otaczał się ajentami i zawsze jeździł powozem lub dorożką.

Bal napróżno wypatrywał stosownej chwili, jedynie rzuceniem bomby możnaby było uśmiercić Gołubiewa, ale znów nie mógł Bal przemódz wstrętu, aby śmierć jednego pociągnęła życie tylu ludzi za sobą.

Sekretarz wychodził i wracał do domu w porze największego ruchu na tak uczęszczanej ulicy, jak Chmielna; w cukierni zawsze było tłumno.

Wawrzyk, Młot i Marcel byli wtajemniczeni w zamierzonym zamachu na Gołubiewa i stosownie do polecenia Bala podpatrywali każde jego wyjście z domu, każdy powrót. Wawrzykowi znudziło się jednak to szpiegowanie i w zastępstwie dał swego syna, ośmnastoletniego Bronka. Był to ładny brunet, żywy i ambitny.

Gdy Wawrzyk przyprowadził Bronka do Bala, ten, przyjrzawszy mu się bliżej, rzekł do ojca:

— Wiecie towarzyszu, wasz syn za młody, popełni nieostrożność i może być z nim źle.

Wawrzyk, spojrzawszy na ładnego, silnego syna, który był już robotnikiem, uśmiechnął się niedowierzająco, mówiąc:

— Taki pozór daje, ale on ma swój rozum.

— Czy to mi pierwszy raz służyć partyi — zawołał Bronek — zna mnie dobrze nasza organizacya na Woli.

— Jeśli wy, towarzysze, zgadzacie się, przyjmuję waszą ofiarę. Otóż towarzyszu Bronisławie, całem i jedynem twojem zajęciem jest dopilnowanie Gołubiewa, kiedy wychodzi, z kim, jaką dorożką, czy sam woła, czy też służący lub ajent i z tego macie mi zdać szczegółowe i prawdziwe sprawozdanie.

— Zrozumiałem.

— Towarzyszu — rzekł Wawrzyk do Bala — już ja sam mu wytłómaczę i pokażę.

I Bronek począł pełnić swą służbę, ale będąc z natury ambitny, postanowił się odznaczyć i w kilka dni, upatrzywszy sposobną chwilę, gdy Gołubiew wsiadał do zawołanej dorożki, Bronek zbliżył się, wyciągnął rękę z rewolwerem, lecz w tej samej chwili ajent uderzył silnie w rewolwer, a kula, przeznaczona dla Gołubiewa, rozpłaszczyła się o bruk.

Poskoczyli ajenci, ubezwładnili Bronka i...

W ciągu pięciu dni stawiono go przed sąd wojenny, który przy staraniach Gołubiewa, mimo niepełnoletności przestępcy skazał go na szubienicę.

Wprawdzie Czerniejew wzdragał się zatwierdzić wyrok, lecz gdy sekretarz zagroził, iż opuści służbę w razie bezkarności obwinionego, Czerniejew dał się przekonać.

Napróżno Kola i matka wstawiali się za Bronkiem, Czerniejew nie dał się poruszyć.

Wszystkie te szczegóły postępowania i zabiegów Gołubiewa, aby Bronek został powieszony, donosił Kola Balowi, któremu przypadł w udziale smutny obowiązek uwiadomienia Wawrzyka o śmierci syna.

Wawrzyk wysłuchał spokojnie słów Bala i rzekł głucho:

— ...Ja proszę teraz o to, abym wyrok na Gołubiewa sam wykonał.

— Dobrze towarzyszu... przyjdziecie jutro o szóstej do mnie z Młotem i Marcelkiem i jutro spełnicie wyrok partyjny.

Nazajutrz, gdy przyszli trzej towarzysze, Bal przyjął ich w mundurze oficera żandarmeryi i po przywitaniu, rzekł:

— Jedziemy do Gołubiewa. Młot i Marceli wejdą ze mną, a wy, Wawrzek, w pięć minut później. Dla was dwóch są ubrania żandarmskie w drugim pokoju, a wy, towarzyszu — zwrócił się do Wawrzka — zostaniecie w cywilnem ubraniu.



— Jestem Balkowski, mej siostrze mieszkającej naprzeciwko wyrobiłeś książkę! Pamiętasz?

Po przebraniu się i przeglądzie, zrobionym przez Bala, wsiedli do dorożek i pojechali na Chmielną.

Przed bramą kamienicy, w której mieszkał Gołubiew, Bal, wysiadając z dorożki, dostrzegł dwóch ajentów, których znał z widzenia, obserwując kroki Gołubiewa. Skinął im głową łaskawie i zbliżywszy się, spytał:

— Pan sekretarz w domu?

— Tak jest wasza wielmożność.

— Czy was tylko dwóch?

— Trzeci w mieszkaniu.

— Zawołajcie go — rozkazał i sam z żandarmami i Wawrzkiem wszedł do sieni.

Po chwili, gdy zjawił się trzeci ajent, rzekł Bal, wyjmując rubla:

— Pojedziecie natychmiast do Marcelina, uważać pilnie, zbadać dobrze wjazd, za godzinę przyjedziemy z panem sekretarzem. Zrozumieliście?

— Tak wasza wielmożność.

— Więc w drogę — i do Wawrzka po rosyjsku — dopilnuj ich.

Z Młotem i z Marcelem poszedł na schody i zadzwonił do drzwi Gołubiewa. Po chwili otworzyło się małe okienko w drzwiach, zajrzał lokaj i spytał:

— Kto? Czego?

Bal wyjął przygotowany bilet na imię Oskara von Hohenau, oficera żaudarmeryi z dopiskiem „od pana podpułkownika von Plessen" i podał służącemu przez okienko.

Lokaj poszedł, a Bal do Młota i Marcelego szepnął:

— Skoro drzwi się otworzą, wejdę i każę lokajowi was puścić. Sam pójdę do dalszego pokoju, lokaja zakneblować i związać.

Na schodach zjawił się Wawrzyk mówiąc:

— Już pojechali.

— Zapukacie do drzwi, towarzysze wam otworzą.

Z wewnątrz przedpokoju słychać było opuszczenie łańcucha, trzask klucza, odsuwanie zatrzasku, wreszcie drzwi się otworzyły i lokaj rzekł:

— Pan prosi.

Bal wszedł, pozwolił rozebrać się z płaszcza i do lokaja:

— Żandarmi zaczekają tutaj.

Marcelek i Młot weszli, a równocześnie Bal sam otworzył drzwi i wszedł z brzękiem ostróg i dzwonieniem szabli do pokoju, w którym przy biurku siedział Gołubiew.

W poczuciu swej rangi i znaczenia sekretarza, nie wstał z fotelu, tylko odwrócił głowę i skinął z łaskawym uśmiechem pytając:

— Pan od mego przyjaciela von Plessen, o co idzie?

Bal zbliżył się do siedzącego, dojrzał browning nabity na biurku i nic nie mówiąc, wziął go w rękę i położył na stoliku za sobą.

Gołubiew patrzał na niego oniemiały ze zdziwienia, wreszcie zawołał oburzony:

— Co to znaczy? Nie wiesz pan z kim mówisz? u kogo jesteś?

W tej chwili posłyszał Bal głuche szamotanie w przedpokoju, które nagle ucichło.

Jeszcze bliżej podszedł do siedzącego Gołubiewa i kładąc mu rękę na ramieniu, ozwał się:

— Jestem Balkowski, mej siostrze, mieszkającej naprzeciwko, wyrobiłeś książeczkę. Pamiętasz?

Gołubiew zbladł i zatrząsł się, spojrzał na biurko szukając broni i dostrzegł guzik dzwonka elektrycznego.

— Przebacz pan, przebacz — bełkotał, a równocześnie posunął rękę, aby zadzwonić.

Dostrzegł ten ruch Bal i odsuwając rękę Gołubiewa od dzwonka, mówił:

— Czy też pamiętasz zachowanie się twoje względem panny Ogniewskiej i pana Rysińskiego na ulicy i w cyrkule?

Gołubiew szarpnął się, usiłował powstać i krzyknął:

— Waśka! Waśka!

— Nie krzycz!... Towarzysze!

Pierwszy wszedł Wawrzyk, za nim Młot i Marceli, na których widok Gołubiew przestał krzyczeć i przerażonemi oczyma wpatrywał się w nich kolejno.

— Co to jest? — wrzasnął — Waśka! Waśka!

— Zwiążcie mu ręce i zakneblować — rozkazał Bal, a gdy spełniono — lokaja przenieść do kuchni.

Następnie podszedł do telefonu, zdjął trąbki, przecinając tem samem wszelką komunikacyę.

Wawrzyk pilnował siedzącego na fotelu Gołubiewa, a Młot i Marceli wynieśli z przedpokoju skrępowanego lokaja i pod przewodnictwem Bala zanieśli do kuchni i ułożyli na łóżku. Bal wyjął mu knebel z ust i rzekł:

— Nie krzycz, bo zginiesz.

Służący milczał i szepnął:

— Nie zabijajcie mnie, ja niewinny — i drżał jak we febrze.

Bal wyjął chustkę swą, zwilżył chloroformem, podsunął związanemu pod nos i za kilku nawrotami lokaj usnął.

Dokończenie nastąpi

Kolonie trędowatych.

Karą bożą, postrachem ludów, najsroższą zarazą, był trąd dla wieków średnich. Gniew boży dotknął tego, czyje ciało już za życia poczynało gnić — twierdziła wiara ludów, wówczas gdy za świętych poczytywano tych, których ciała i po śmierci oparły się rozkładowi. Trąd był cierpieniem nie tylko fizycznem, lecz i moralnem, bo skazywał tak na śmierć fizyczną jak i moralną przez wydalenie chorego poza obręb danego społeczeństwa.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Kolonie trędowatych: Anna Tulik, chora od 21 lat.

Nie można ściśle określić czasu, kiedy po raz pierwszy ukazała się ta straszna choroba. Znaną już była w starożytnych wiekach w Egipcie i Indyach, gdzie do tej pory grasuje. W średnich wiekach szerzyła się po całych Niemczech; nieuleczalna, czyniła gorsze spustoszenia, niż wojny ówczesne. Trąd nie zabija odrazu; przez długie lata toczy ciało, które gnijąc zamienia człowieka w jedną cuchnącą ranę, olbrzymi bezkształtny trup. Trąd, tak przerażający w swych objawach, skazywał na zagładę wieś całą, w której choć jeden zaszedł wypadek tej choroby. Nadzwyczaj zaraźliwy przechodził na innych mieszkańców, tak że wioska cała stawała się jakby jedną kolonią trędowatych, siedliskiem wstrętnych potworów. Okrucieństwo wieków średnich, przesąd „kary bożej“ skazywał wsie takie na spalenie a i śmierć sroga była jeszcze wybawieniem dla tych nieszczęśliwych; biedne ofiary, bezkształtne, niezdolne do pracy musiały umierać z głodu, nikt im bowiem nie śmiał podać pomocnej ręki.

Siedliskiem chorób skórnych bywają zazwyczaj kraje gorące o nieucywilizowanej ludności. Brud, niechlujstwo i upalne promienie słońca wytwarzają jakby cieplarnię zarazków tej choroby. Trąd jednak nie ograniczył się do krajów podzwrotnikowych, lecz przyjął się na całym świecie, nawet w sferach o niskiej temperaturze. W obecnych czasach w Europie trąd spotyka się sporadycznie w Szwecyi, Norwegii, Rumunii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, endemicznie zaś, zajmując większe przestrzenie, szerzy się w Turcyi i Grecyi. Najgwałtowniej występuje w Azyi, tak na południu w Indyach, jak i na północy u Jakutów. W literaturze naszej mamy przepiękne opowiadania Sieroszewskiego o całej kolonii jakuckiej trędowatych.

Trąd, chociaż znany już od tylu wieków, zbadany został dopiero niedawno, w r. 1880, gdy Hansen odkrył zarazek trądu. Zaradczych jednak środków do tej pory medycyna nie posiada. Trąd występuje żółto czerwonemi i ciemno bronzowemi plamami na skórze rąk i nóg, na zewnętrznej ich stronie, także na twarzy, zwłaszcza na powiekach, wskutek czego chory ślepnie. Jedna z naszych fotografii przedstawia właśnie czterdziestotrzyletnią Annę Tulik oślepłą z powodu ran trądu. Dziedziczność trądu do tej pory nie została zbadaną.

Jedynym sposobem, by choroba nie rozszerzała się, jest zupełne izolowanie chorych. W tym celu w miejscowościach, dotkniętych trądem, zakłada się specyalne kolonie trędowatych, w których chorzy znajdują się zupełnie odosobnieni i pędzą żywot zdala od ludzkich mieszkań. W ostatnich czasach powstała taka kolonia w Liflandyi, na wyspie Oesel, w odległości 29 wiorst od Arensburga; nazywa się „Audako“. Powstała ona dzięki pełnej poświęcenia i zaparcia się pracy komisarza Sandera.



Fot. A. Drankow Petersburg.
Kolonie trędowatych: Ado Sim, chory od 13 lat.

Załączone fotografie przedstawiają grupę trędowatych wraz z założycielem kolonii komisarzem Sanderem i felczerem Gerpem. Obecnie w kolonii znajduje się 45 trędowatych, 14 mężczyzn i 31 kobiet, ciężej chorzy nie mogli uczestniczyć w pozowaniu. Trzy inne fotografie przedstawiają wyżej wspomnianą Annę Tulik, ośmioletniego Jana Tanga z ojca zdrowego, matki trędowatej i Ado Sima, chorego od lat 13; rodzice jego i siostry byli trędowaci, żona zaś i pięcioro dzieci znajdują się w zupełnem zdrowiu.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Kolonie trędowatych: Zbiorowa grupa trędowatych w kolonii »Audako«; z boku stoi założyciel kolonii Sander i felczer Gerpe.

Zamordowanie perskiego wezyra.

W dniu 31 sierpnia został w skrytobójczy sposób zamordowany w stolicy państwa perskiego, Teheranie, wielki wezyr Ali Asghar Khan. Zbrodnia ta polityczna wywołała powszechne i wielkie wrażenie, a następstwa jej dziś jeszcze nie dadzą się przewidzieć. Mordercy nie byli Persami, lecz działali z rozkazu rewolucyjnego komitetu w Baku. Głównym wykonawcą woli komitetu był kupiec Abbas Ali z Baku. Zamordowawszy i żołnierza, który go chciał uwięzić, popełnił samobójstwo. W ręce władz wpadł tylko jego towarzysz.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Kolonie trędowatych: Jan Tang, trędowaty od czwartego roku życia.

Zamordowany wielki wezyr uchodził za najwybitniejszego męża stanu, jakiego Persya w ostatnich dziesiątkach lat wydała. Już za rządów Nasreddina został on w 1887 naprzód prezydentem ministrów, a następnie wielkim wezyrem. Następca Nasreddina, jego syn Muzzaffereddin, zatwierdził go, obejmując w r. 1896 tron, na tem wysokiem i odpowiedzialnem stanowisku; po siedmiu miesiącach stanowisko to porzucił z powodu nieprzyjaznego

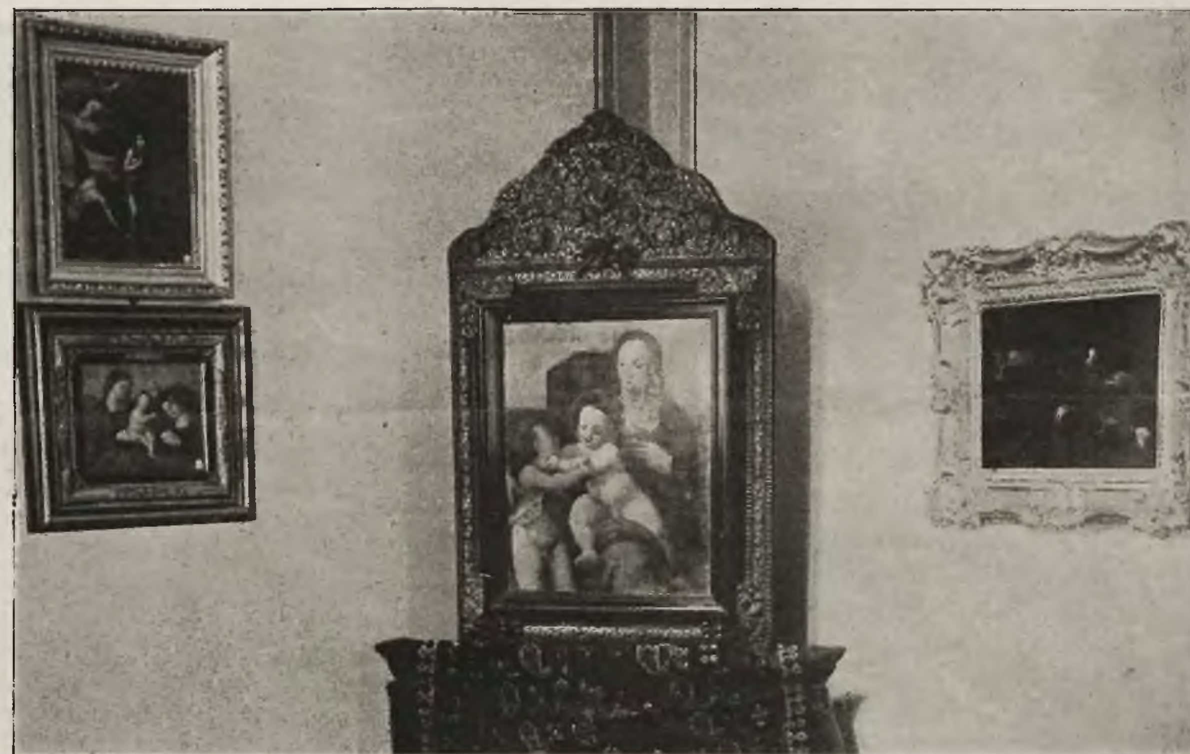
dla siebie postępowania szacha. Wówczas jednak rozpoczęła się w Persyi tego rodzaju gospodarka, że musiano Ali Asghara znowu powołać do steru rządów. I mimo rozmaitych intryg, zwłaszcza partyi tzw. angielskiej, umiał się na swem dominującem stanowisku utrzymać aż do r. 1903. W tym roku nastąpił ponowny jego upadek. Ali Asghar postanowił opuścić ojczyznę i wyjechał w podróż do Chin i Japonii. Przez trzy lata trzymał się ten utalentowany i pełen najlepszych chęci mąż stanu zdaleka od wszelkiej polityki, a powróciwszy z podróży na Wschód zamieszkał w Europie, w Szwajcaryi. Pod wpływem nowych stosunków, pod wpływem europejskiego otoczenia zmienił też on niejedno w swych przekonaniach politycznych i stał się gorliwym zwolennikiem idei zaprowadzenia konstytucyi w Persyi, w czem widział ratunek dla ojczyzny swej, która chyliła się coraz bardziej i coraz gwałtowniej ku upadkowi. Z przekonaniami temi nie krył się, przeciwnie, głosił je publicznie i jawnie.



Zamordowanie perskiego wezyra: Wielki wezyr Kali Asghar Khan.

Tymczasem w maju 1906 rząd perski powołał go znowu na stanowisko wielkiego wezyra. W owym czasie właśnie Persya otrzymała od szacha Muzzaffereddina konstytucyę. Stało się to podobno pod wpływem Anglii, dla złamania rosnącej tam potęgi rosyjskiej. Nowemu szachowi Mohammedowi Alemu nie ufano, mimo że w zupełności zatwierdził świeżo ogłoszony manifest konstytucyjny; obawiano się z jego strony reakcyjnych zarządzeń. Również Ali Asghar Khan nie był w stanie odwrócić od siebie podejrzeń o reakcyjne zachcianki, pogłoski bowiem tego rodzaju i niechęć przeciw rządcom państwa szerzyli rosyjscy agitatorowie.

I o to wielki wezyr padł jako pierwsza ofiara tej agitacyi i braku zaufania do jego szczerych, dobrych chęci. Śmierć jego odbije się szkodliwie na dalszym rozwoju Persyi. Brak jego energicznej, patryotycznej ręki dał się już odczuć, zwłaszcza że państwo szacha jest w stanie anarchii, w przededniu rewolucyi.



Fot. M. Münz Lwów.
Miejska galerya sztuki we Lwowie: Madonna Rafaela, której autentyczność zachwiał prof. Bołoz-Antoniewicz.

Miejska galerya sztuki we Lwowie.

Pod względem kultury artystycznej Lwów nie stoi niestety na takim poziomie, jaki powinien odpowiadać godności stolicy kraju. Złożyło się na to wiele czynników. To też z całem uznaniem podnieść należy fakt, iż ci, którzy stoją na czele miasta, podjęli w ostatnich czasach akcyę tak ważną dla kultury miasta, jak stworzenie galeryi miejskiej. Akcya ta ma swoją historyę.

Kiedy w r. 1901 poddało ministerstwo oświaty myśl stworzenia we Lwowie muzeum miejskiego, Rada miejska przeznaczyła na cel ten 5000 koron rocznej subwencyi. W r. 1905 ofiarował miastu p. Szymon Toepfer swój nieoceniony zbiór obrazów. Wtedy na seryo już poczęto rozglądać się za miejscem, w któremby umieścić można dotychczasowe zbiory. W dwa lata później tj. z końcem stycznia b. r. zaszedł w tej akcyi fakt niezmiernie ważny. Miasto zakupiło liczne zbiory obrazów pędzla starych mistrzów i wiele przedmiotów artystycznych od p. Jakowicza, zamieszkałego w Sitkowicach na Ukrainie.

Ta ostatnia transakcya doszła do skutku za pośrednictwem „komisyi ukraińskiej“ złożonej z pp.: wiceprezydenta Rutowskiego, radnego dra Lisiewicza, archiwaryusza dra Czołowskiego, artysty malarza p. Reichana i urzędnika muzeum przemysłowego p. Stronera. Interes przedstawiał się bajecznie. Katalogi i objaśnienia p. Jakowicza mogły olśnić każdego. Według nich bowiem twórcami 386 obrazów, wystawionych na sprzedaż, mieli być: Rafael, Corregio, Tintoretto, Palma, Rubens, Van Dyck, Van der Meer, Watteau, dalej kilku malarzy z epoki Stanisława Augusta jak: Bacciarelli, Lampi, Smuglewicz — w końcu także Matejko i Siemiradzki. Pozatem zbiór obejmował około 2000 przedmiotów wyrobu artystycznego, jak mebli, porcelany, emalij, bronzów, broni, tkanin, wykopalisk. Wszystkie te obrazy i przedmioty artystyczne, to fragmenty wielkich zbiorów



Fot. M. Münz Lwów.
Miejska galerya sztuki we Lwowie: Wnętrze jednej z sal miejskiej galeryi sztuki w gmachu muzeum przemysłowego.

z galeryi Tulczyńskich, Potockich, Przeździeckich, ks. Woroncowa-Daszkowa, Dębowskich, a nawet króla Stanisława Augusta (Madonna Rafaela). A wszystko to, ocenione na 300 tysięcy rubli, można było kupić za 250 tysięcy koron. Na przedstawienie tedy „komisyi ukraińskiej“, rada m. Lwowa w dwu dniach postanowiła zbiory zakupić. Dnia 6 marca obrazy były już we Lwowie, a w jakiś czas potem w gmachu muzeum przemysłowego stanęło o-



Zaręczyny ks. Jerzego greckiego: Książę Jerzy grecki.

tworem dziewięć sal, zapełnionych obrazami, udekorowanych stylowemi meblami, porcelaną i rzeźbami, u których wejścia widniał napis: „Galerya miejska“.

Równocześnie jednak poczęły krążyć we Lwowie niejasne i ogólnikowe wieści, że zbiory, które Lwów kupił, są w znacznej części bezwartościowe, że są produktem rozgałęzionej fabrykacyi antyków i że główną sprężyną w zakupnie ich był osławiony lwowski antykwarz Dornhelm.

Wnet potem odezwał się pierwszy głośny głos krytyki. Oto p. Maryan Olszewski, znany krytyk i historyk sztuki, autor kilku prac z tego zakresu, wydał broszurę pod tytułem „Quousque tandem.... w sprawie miejskiej galeryi obrazów we Lwowie. Komentarz do dzisiejszej kultury artystycznej Lwowa“.

W broszurze tej, napisanej z temperamentem i znajomością przedmiotu, stwierdza autor, iż w sferach decydujących nie myślano o tem, w jaki sposób należy pokierować akcyą, że dalej problemu galeryi nie uczyniono kwestyą publiczną. Następnie rzuca autor snop światła na zakulisową historyę zakupna zbiorów i stwierdzając najlepsze zamiary po stronie przeważnej części „komisyi“, w szczególności po stronie wiceprezydenta dr. Rutowskiego, podnosi szereg konkretnych zarzutów przeciw owemu Jakowiczowi. Wykazuje w dalszym ciągu p. Olszewski, że zakupnu obrazów nieprzyświecała żadna myśl artystyczna i że ten zbiór jest raczej zbieraniną, jest towarem sklepu antycznego, który przypadek zgromadził na półkach, a nie galeryą, mówiącą bodaj coś niecoś o ewolucyi malarstwa.

Pojawienie się tej broszury wywołało we Lwowie dużo hałasu. P. Olszewskiemu, który zajmuje posadę prowizorycznego asystenta w muzeum miejskiem, wytoczono dyscyplinarkę, dr. Czołowski w kilku pismach ogłosił list, zawierający nie tyle odpowiedź na zarzuty broszury, ile przypuszczenie, iż ta broszura jest podyktowaną motywami osobistej natury, wmięszał się dalej w całą sprawę dr. Władysław Witwicki, docent uniwersytetu i krytyk sztuki, zamieszczając w jednem z pism codziennych artykuł streszczający zarzuty p. Olszewskiego i podnosząc ich trafność. Wnet potem ogłosił prof. dr. Bołoz-Antoniewicz artykuł, w którym ten wytrawny znawca sztuki zajął się przedewszystkiem rzekomym Rafaelem, a równocześnie wspomniał o wartości całego zbioru. Co do Rafaela, to prof. Antoniewicz wyklucza możliwość, iżby to był autentyk i zdanie swe naukowo uzasadnia, a o galeryi całej też powiada, iż nie brak w niej notorycznych falsyfikatów i to najnowszej daty.

Na wszystkie te zarzuty odpowiedział wreszcie szeroko w kilku artykułach dziennikarskich wiceprezydent Rutowski. Wynika z nich napewno to, ze p. Rutowski działał w jak najlepszej wierze, a działał ze stanowiska kulturalno-społecznego, ożywiony zarazem najlepszemi nadziejami. Artykuły jego dają poznać szerokiemu ogółowi, kosztem jakich to trudów on, jak i ci, co z nim wspólnie działali, zebrali dotychczasowy dobytek galeryi miejskiej. A dodać należy, że pracy tej przyświecała myśl szlachetna, zogniskowania w murach Lwowa zabytków artystycznych, rozrzuconych po wschodnich kresach, by w ten sposób wydźwignąć Lwów na wyżyny kulturalnego znaczenia.

Ostateczny wyrok w tej interesującej i ważnej sprawie jeszcze nie zapadł. Ma nim być orzeczenie znawców zagranicznych, których rada m. Lwowa powoła, by ocenili zbiory, składające się na galeryę i by stwierdzili ich autentyczność oraz wartość.

Zaręczyny księcia Jerzego greckiego.

Od dłuższego już czasu oczekiwane ogłoszenie zaręczyn księcia Jerzego greckiego z uroczą córką księcia Rolanda Napoleona Bonapartego, Maryą, nastąpiło w ostatnich dniach.

Książę Jerzy, urodzony 1869 roku, wstąpił po ukończeniu nauk do służby we flocie duńskiej, gdzie doczekał się wnet nominacyi na oficera. W Danii też spędził on wiele lat, bo kształcił się tam od 14 roku życia. Tam też cieszy się powszechną sympatyą, podobnie jak w ojczyźnie. Szczególną miłością otaczali go dziadkowie, król Chrystyan IX. i jego małżonka Ludwika.

Ogólną uwagę Europy zwrócił na siebie, gdy w r. 1896 po znanych wypadkach na wyspie Krecie, został przez mocarstwa europejskie zamianowany gubernatorem tej wyspy. Książę oddał się tam cały z ogromną gorliwością i energią ciężkiemu i pełnemu cierni zadaniu uspokojenia miejscowej ludności. Po kilku latach wreszcie mandat swój



Zaręczyny ks. Jerzego greckiego: Księżniczka Marya Bonaparte.

złożył, a następcą jego został ceniony polityk, były grecki prezydent ministrów Zaimis.

Ojciec narzeczonej księcia Jerzego, książe Roland, mieszkający w Paryżu oficer piechoty francuskiej, znany również w świecie naukowym dzięki wynikom swych badań w dziedzinie geografii i antropologii, jest synem księcia Piotra Napoleona a wnukiem brata wielkiego cesarza Napoleona, księcia Lucyana. Babka księżniczki Maryi, Eleonora, z rodu Angielka, pochodziła z szlacheckiej rodziny Ruflinów, matka zaś, szlachcianka francuska, zmarła w miesiąc po jej urodzeniu 1882 roku. Młoda księżniczka przyniesie swemu mężowi w posagu około 40 mil. frcs.

Dzięki temu posagowi będzie książe Jerzy grecki należeć do najbodatszych książąt w świecie. Książę Jerzy jest obecnie admirałem floty greckiej.



Fot. M. Münz Lwów.

Miejska galerya sztuki we Lwowie: Sala z portretami słynnych mistrzów (?)

Hajdamacy przed sądem wiedeńskim.

Pamiętnym w dziejach polskiego uniwersytetu we Lwowie jest dzień 23 stycznia 1907 r. W dniu tym grupa studentów ruskich dopuściła się niesłychanego gwałtu w murach lwowskiej „Almae matris“, poraniła ciężko sekretarza uniwersytetu profesora Winiarza i zdemolowała kilka ubikacyi uniwersyteckich, w szczególności aulę, gdzie ofiarą żdziczałej młodzi hajdamackiej padły cenne obrazy przez cały czas, od chwili napadu na uniwersytet, tak i wówczas całe prawie społeczeństwo ruskie, nie wyłączając niektórych profesorów uniwersytetu, wyrażało głośno swoją solidarność z „bohaterskim“ krokiem studentów, których nazywano męczennikami sprawy narodowej.

Pod wpływem niesłychanej presyi i wskutek rzekomego strejku głodowego, władze sądowe wreszcie wypuściły „bohaterów“ na wolną stopę. I nadszedł znowu pamiętny we Lwowie dzień, kiedy wśród wiek karygodnego występku, obrzucając tylko jadem nienawiści i obelgami niecnemi całe społeczeństwo polskie, profesorów Polaków i studentów polskich.

Lecz nie pomogło to wszystko „bohaterom“, nie pomogły napaści obrońców dr. Rodego, dr. Joachima i dra Kosa, którzy nie cofali się przed żadnem oszczerstwem, byle tylko zmniejszyć winę podsądnych — sąd wiedeński pod przewodnictwem dra Wacha, uznał część oskarżonych za winnych i za-



W drodze na Sybir: Patrol wojskowy prowadzi na kolej ulicami Petersburga przestępców politycznych, przeznaczonych na zesłanie w Sybir.

i portrety rektorów. Dopuściwszy się tego wandalizmu, studenci ruscy chcieli opuścić gmach uniwersytetu, zanim jednak zdołali to uczynić, zjawiła się policya i prawie wszystkich ich przyaresztowała. Wśród śpiewów pomaszerowali aresztowani do policyi, gdzie część z pomiędzy nich odmówiła jakichkolwiek zeznań, a część przyznała się do udziału w zbrodniczym napadzie.

W toku śledztwa sądowo-karnego, sędzia śledczy zarządził uwięzienie ekscedentów, pierwotnie przez policyę na wolność wypuszczonych. W całej prasie ruskiej powstał z tego powodu wielki gwałt, przyczem rzucono się w namiętny sposób na polskie władze, a zwłaszcza na polskie sądownictwo, iż mogło ruskich bohaterów, kwiat ruskiej młodzieży, która w obronie swych świętych praw stanęła do walki z polską przemocą, pozbawić wolności. I jak szpalerów rozentuzyazmowanej publiczności ruskiej, obrzucani kwiatami, witani okrzykami na swą cześć, aresztowani studenci opuścili gmach przy ul. Batorego. W tych warunkach zdawało się, że gdy po ukończeniu śledztwa „bohaterowie“ staną przed sądem we Wiedniu, bo do przeprowadzenia sprawy tej delegowano sąd wiedeński, młodzież ruska, w przekonaniu, że walczyła o swe narodowe prawa, stanie z otwartem czołem przed sądem i wyzna swą winę z szczerością, odpowiednią politycznym przestępcom. Lecz stało się zupełnie inaczej. Kiedy w dniu 3 września rozpoczęła się przed trybunałem wiedeńskim rozprawa karna przeciw 16 oskarżonym studentom, żaden z nich nie chciał przyznać się do udziału w napadzie na uniwersytet, żaden z nich nie miał odwagi bronić swego stanowiska, lecz w wykrętny sposób wypierali się jakiegokol- sądził siedmiu z nich na karę więzienia jednomiesięcznego, a jednego, dr. Baczyńskiego, na tydzień aresztu.

Wobec ogromu winy, nie jest to kara zbyt surowa. W każdym razie wyrok ten powinien być przestrogą dla społeczeństwa ruskiego, że złą obrało drogą w walce ze społeczeństwem polskiem, powinien być wskazówką, że wiedeński rząd centralny nie będzie im przychylniejszy, niż Polacy, choć wobec Wiednia i prasy niemieckiej Rusini się płaszczą, a Polakom imputują najcięższe, z gruntu fałszywe zarzuty.

Poniżej zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy obwinionych studentów ruskich. Zdjęcie to dokonane zostało przed wyrokiem.



Fot. Ch. Scolik Wiedeń.

Hajdamacy przed sądem wiedeńskim: Grupa oskarżonych o napad na uniwersytet polski we Lwowie studentów ruskich, wraz z obrońcami i dwoma posłami. 1. Poseł Wasilko; 2. Oskarżony Nazaruk; 3. Obrońca dr. Rode; 4. Obrońca dr. Kos; 5. Obrońca dr. Joachim; 6. Oskarżony Tychowski; 7. Poseł prof. dr. Dniestrzański; 8. Osk. dr. Baczyński.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

10 (Ciąg dalszy).

— Pan nic nie robisz... zostawiasz to drugim i w tem właśnie leży niebezpieczeństwo... wiedz pan, że to niebezpieczeństwo więcej grozi panu niż mnie! Strzeż się zatem, mój drogi hrabio! Pan wiesz, jaką kobietą jestem, nieprawdaż? i że poświęciłam wszystkie myśli moje, usiłowania i życie sprawie, która udać się musi.

— Ale przysięgam pani...

— Nie przysięgaj pan, bobyś skłamał. Ja więcej wiem o panu, niż pan sam przypuszczasz. Nadeszła ostatnia chwila działania i nie chcę, abyś pan mi się tym razem wymknął. Posłuchaj mnie pan! zapamiętaj dobrze moje słowa i nie usiłuj mniej oszukać... Dziś pójdziesz pan do hr. Senneterre prosić o rękę jego siostrzenicy Heleny.

— Jednakże pani wiadomem jest, dlaczego do tej pory się wahałem? Kocham panią!

— Mówiłeś mi to... i wczoraj jeszcze pisałeś. Listy miłosne pana niczem są dla mnie. Znam pana nadto, by pozwolić mu kochać siebie! Zresztą nie kocham pana! co więcej... powiedziałam już to panu, że kocham innego!...

— Ah! gdybym go znał!

— Co byś uczynił?

Oczy hrabiego zabłysły złowrogo.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

— No! oprzytomnij pan — rzekła z okrutną ironią. — Człowiek, którego kocham, możeby zaszczycił pana pojedynkiem, ale po to, żeby cię zabić. A tego pan nie pragniesz — prawda? Co do drugiego sposobu — morderstwo — możesz być pan przekonany, że w dniu, w którymby ci ta myśl przyszła do głowy, zanimbyś zdążył przedsięwziąć jakiekolwiek kroki, wydałabym cię bez litości szubienicy, której unikałeś do tej pory dziwnem szczęściem!

— Ah! tak mnie więc pani nienawidzisz!

— Nie nienawidzę, ale pogardzam!

Hrabia zbladł mocno; straszne uczucie wściekłości ściągnęło rysy jego twarzy i z groźbą w oczach błyszczących wstrętnym ogniem posunął się ku młodej kobiecie.

ROZDZIAŁ XI.

Tajemnica Romy.

Lea, obojętna i spokojna, spojrzała głęboko w oczy hrabiemu wzrokiem zimnym jak stal i rzuciła się leniwie na kanapę.

— Myślałam, że posiadasz pan więcej siły — mówiła dalej. — Gdy się jest takim człowiekiem jak pan, nie popełnia się takiego głupstwa, by się zakochać w kobiecie. A przedewszystkiem nie kocha się kobiety, która trzyma w swojej ręce całe życie pana! Serce kobiet oddaje się tylko temu, nad którym ona czuwa, lub takiemu, który jest od niej silniejszy. Pan nie będziesz dla mnie nigdy ani jednym ani drugim, pamiętaj to sobie. Ale nie zapomnij również — dodała głosem silnym — że zależysz odemnie, że mogę cię zgubić, kiedy tylko zechcę, że wystarczy mi na to znak jeden, słowo! A teraz rozmawiajmy — rzekła żywo, jakby nie chcąc hrabiemu pozwolić na jakieś refleksye — dowiesz się pan, czemu przybyłam tu o tej godzinie i czemu wymagać będę od dziś od pana stanowczości i posłuszeństwa!

Na hrabiego des Tournelles podziałała energia młodej kobiety, uczucie buntu rozpierało jego piersi i mózg... nadludzkim wysiłkiem opanował się. Dziwne to było! Człowiek ten był wyjątkowo silny i gwałtowny. Szalona zuchwałość, która biła z jego rysów, wskazywała, że nie był przyzwyczajony do pokornego poddania się i gdyby chciał tylko, mógłby jednym ruchem swej żelaznej ręki zmiażdżyć delikatną dłoń kobiety, którą miał przed sobą! Jednakże milczał i głowę spuścił ku ziemi. Czyżby to była miłość, czy też lęk czynił go tak podłym i układnym? Tego nikt nie mógł wiedzieć, a może i on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Wczoraj, w chwili gdy opuszczałam willę Senneterre, pod drzewami Pól Elizejskich stało dwóch mężczyzn i czekało na mnie — odezwała się Lea.

— Dwóch mężczyzn — przerwał hrabia — ale czy pani nie wie, że od kilku tygodni tajemnicze osobistości krążą koło willi Senneterre. — Buvard i Rigolo nas śledzą.

— Nie chodzi tu ani o Rigola ani o Buvard'a — rzekła Lea — tych się nie obawiam i potrafię się ich pozbyć, gdy zajdzie tego potrzeba... ale chcę mówić o Brzuchaczu i „Stalowem Sercu".

— Oni tam byli — zawołał hrabia z tak szczerem zdziwieniem, że się udzieliło ono i młodej kobiecie.

— Czyś pan o tem nie wiedział? — zapytała. Któż więc im dał rozkaz śledzenia mnie?

— Przysięgam, że nie wiem.

— Przypuśćmy! Chcę wierzyć, że nie było to za pańską sprawą, ale wytłómacz mi pan, komu, oprócz ciebie i Buvard'a, może zależeć na śledzeniu wszystkich moich kroków?

Des Tournelles milczał.

— Pan nic nie odpowiadasz — zawołała Lea.

— Staram się zrozumieć.

— A więc staraj się napróżno, to jeszcze nie jest wszystko! Idąc, spostrzegłam coś niezwykłego, ale nie mogłam się wahać. Otworzywszy drzwiczki od karety i wskoczywszy do środka, zobaczyłam, że na koźle obok stangreta siedział jakiś nieznajomy mi człowiek.

— Czy to możliwe!

— Siedział owinięty w szeroki i ciemy płaszcz, tak że z początku nawet twarzy rozpoznać nie było można. Przez chwilę chciałam wyskoczyć z karety, ale ciekawość moja była silnie podniecona.

— Była to wielka nieostrożność ze strony pani, panno Leo!

— Może... z początku myślałam, że wpadłam w sieci swoich nieprzyjaciół, ale byłam dobrze uzbrojona i nie prędko potrafiliby zamordować kobietę taką jak ja — postanowiłam się bronić do ostatka.

— I gdzież panią zawieźli?

— Na ulicę Bourbon 36.

Mówiąc to, Lea nie spuszczała z oczu hrabiego i dostrzegła jego pomięszanie i bladość niezwykłą.

Najwidoczniej des Tournelles co wiedział!

— Ah! ah! — zawołała z drwiącą ironią. — Zdaje mi się, że moja przygoda zaczyna interesować pana, panie hrabio. Cieszy mnie to niewymownie, bo sądzę, że zechcesz teraz pomódz mi rozświetlić tę tajemniczą zagadkę?

— Ulica Bourbon? — powtarzał machinalnie des Tournelles.

— Numer 36 — dodała Lea.

— Naprawdę, to zadziwiające.

— Dlaczego?

— Ależ ten człowiek, który siedział na koźle?...

— Zeszedł, by mi drzwiczki otworzyć!

— I pani go widziałaś?

— Dostatecznie, by go poznać, jeżeli trzeba będzie.

— On jest ułomny, nieprawda?

— Powiedz pan wstrętny!... Straszny!

— I z pod jego wielkich, rozczochranych włosów, prawie nie widać twarzy?

— Oh! To go pan znasz, jak widzę!

— To Karpol!

Lea uchwyciła rękę hrabiego i ścisnęła ją mocno.

— Któż więc jest ten człowiek? — rzekła żywo. — Od kogo on zależy? Któż mu rozkazał iść za mną i śledzić mnie?

Hrabia uwolnił delikatnie swoją rękę i odsunął się kilka kroków od młodej kobiety. Widoczne wahanie zatrzymywało mu na ustach słowo, cisnące się gwałtownie. Oczy jego pobiegły machinalnie do drzwi i zatrzymały się na nich z niepokojem.

— Tam ktoś jest! — zawołała nagle Lea — jakaś kobieta! Ta, która tu jest od wczoraj jeszcze! Ah! Teraz zgaduję... To ona zabrania panu mówić. Oh! muszę się dowiedzieć...

Lea skoczyła do drzwi, gdy nagle rozsunęły się ciężkie portyery i kobieta stanęła na progu.

Była to Roma!

Lea nie widziała jej jeszcze nigdy, została uderzona wyrazem jej twarzy bladej, w jasnem świetle lampy, i odczuła dziwne wrażenie, gdy spojrzenie tej kobiety skrzyżowało się z jej spojrzeniem. Roma szła krokiem powolnym i pewnym. Doszła do hrabiego des Tournelles i pochyliła się do jego twarzy.

— Henryku! — szepnęła znacząco — oddal się zaraz i zostaw nas same.

Hrabia pomięszany nie ruszał się z miejsca.

— Zrób, o co cię proszę — dodała Roma prawie błagalnie — przypomnij sobie, że rady moje były dla ciebie zawsze bardzo zbawienne. Słuchaj, ja muszę mówić z tą kobietą, a nie mogę tego uczynić przy tobie. Rozumiesz mnie?

— Żądasz tego?...

— Tak — żądam.

Hrabia bez słowa skierował się do drzwi i znikł za portyerą.

Obie kobiety zostały same. Lea była nadzwyczajnie zaciekawiona i podniecona. Żona Jakóba Mayot nie była młodą, lecz była jeszcze bardzo piękną. Łagodne, pieszczotliwe spojrzenie i głos pełny serdeczności wskazywały, że kobieta ta gorącą miłością ukochała hrabiego des Tournelles. Leżała w tem tajemnica, która zaintrygowała mocno Leę.

Nie miała jednak wiele czasu na dociekanie, bo zaledwie drzwi się zamknęły za młodym hrabią, gdy Roma podeszła do niej i dotknęła lekko jej ramion.

— Musiałyśmy się kiedyś spotkać — rzekła głosem surowym i twardym — wolę, że stało się to dzisiaj. Od pewnego czasu myśli moje zajęte są panią; dla pani, dla mnie, a szczególniej dla człowieka tego, który stąd wyszedł przed chwilą, lepiej będzie, jak sobie raz prosto w oczy spojrzymy i przekonamy się, w czem jesteśmy dla siebie niebezpieczne lub też użyteczne. Czy pani nie zgadza się z mojem przekonaniem?

Lea skłoniła się bez odpowiedzi. Chociaż o tyle młodsza od Romy, posiadała niezwykłą moc panowania nad sobą. To, co ją w tej chwili spotykało, dziwiło ją, ale nie zatrważało. Czuła instynktownie, że ma przed sobą nieprzyjaciółkę, że grozi jej niebezpieczeństwo, lecz nie zdając sobie jeszcze sprawy, jakiego rodzaju będzie to niebezpieczeństwo, zachowała całą krew zimną, by módz dobrze obserwować i badać.

Roma zrozumiała uczucie, miotające duszę jej przeciwniczki. Uczyniła ruch żywy, świadczący o jej niezadowoleniu, a widząc zniechęcenie Ley i nie panując nad gwałtownością swojego charakteru, zbliżyła się jeszcze o parę kroków do młodej kobiety, w której utopiła przenikliwe spojrzenie, jakby ją chcąc opanować i złamać.

— Ah! milczysz! Nie chcesz odpowiedzieć! — zawołała — a więc dobrze! idźmy prosto do celu! wolę to nawet! Słuchaj mnie!... ja cię znam!

— Co mnie to obchodzi — odparła Lea.

— Znam cię, mówię, i mogę wyjaśnić cel twój, który tobą kieruje i za którym gonisz.

— Doprawdy!

— Nie drwij!... bo wiem, że dla tego celu poświęciłaś wszystkie swoje nadzieje, całe szczęście swego życia!

— Co pani chcesz powiedzieć?

— Ah! nie śmiejesz się już?

— Proszę się wytłómaczyć.

— Po co? nie usłuchasz mnie, nie dasz wiary temu, co ci powiem, a jednak gdybyś chciała — we dwie... słyszysz mnie, czy wiesz, co o tej godzinie robi Jerzy Beraldi, syn hrabiego Torella?

— Co takiego? — zapytała zaciekawiona Lea.

I teraz już, odrzucając swój zwykły spokój i rozwagę, przybliżyła się drżąca i wzburzona ku Romie.

— Co takiego? — powtórzyła przytłumionym głosem.

Roma zaśmiała się ironicznie.

— Wiesz przecież dobrze, że cię nie kocha — rzekła. Wiesz, że kocha inną!

— Helenę!

— Tak, Helenę, dziecko bez woli i zdania, którą może nierozważnie popchnąć do buntu i do najenergiczniejszych przedsięwzięć.

— Oh! ona się nie ośmieli.

— Ośmieli się na wszystko, jeżeli ją do tego doprowadzisz, gdy jej nie pozostanie nic więcej, tylko ucieczka!

— Ale gdzie jest sposób? — wyszeptała Lea.

— Oh! jest jeden!

— Jakiż? Jakiż? proszę mówić!

Żona Jakóba Mayot zniżyła głos do szeptu.

— Mówiono mi — rzekła — że siostrzenica hrabiego de Senneterre posiada zdrowie bardzo delikatne... że od kilku tygodni bardzo pobladła i ci, którzy się nią interesują, zaniepokojeni są jej osłabieniem, wzrastającem z dniem każdym, do tego stopnia, że sądzą, iż biedne dziecko nosi w sobie zarodek jakieś dziedzicznej choroby, na którą już niema lekarstwa. Czy to jest prawda?

— Prawda — odpowiedziała głucho Lea.

— Jeżeli tak jest rzeczywiście — mówiła dalej Roma — to dziecko nie staje się niebezpiecznem. I można by spokojnie uczynić miłosierny uczynek i zapewnić sobie jej dozgonną wdzięczność.

— Co za uczynek? — zapytała Lea, zatapiając wzrok w Romie.

Żona Jakóba Mayot uśmiechnęła się dziwnie.

— Jeżeli wiadomem jest, że dnie jej są poli-

czone — rzekła — dlaczego nie zadowolnić jej pragnienia chorobliwego? Zdaje mi się, że nie hrabiego des Tournelles, lecz Jerzego Beraldi trzebaby jej pozwolić zaślubić.

— Ależ ona go kocha — zawołała gwałtownie Lea.

— Ej! zapewne, ale co to szkodzi, skoro niedługo już pożyje — odpowiedziała Roma.

Lea opadła na fotel w milczeniu, kryjąc twarz w dłonie. Pierś jej falowała szybko, palce zaciskały się konwulsyjnie we włosach.

— Czy nie jesteś tego zdania? — szepnęła Roma po chwili milczenia.

— Możliwe — odpowiedziała Lea, wstrząsana dreszczem.

— Czego się obawiasz?

— Wszystkiego!

— Ale przecież!

— Miłość stwarza cuda... a szczęście może wyratować od śmierci...

— Zapewne... ale tak się z Heleną nie stanie...

— Kto może o tem wiedzieć!

— Oh! to bardzo łatwe do odgadnięcia. Życie kryje często wielkie niespodzianki i ileż to razy widziano takie młode dziewczęta, jak Helena, umierające w chwili, gdy w ślubnej sukni zaledwie odeszły od ołtarza.

Lea podniosła głowę i spojrzała bystro na mówiącą. Była nadzwyczajnie zmięszaną, lecz ponad tem uczuciem wznosiła się myśl uporczywa, jaki był cel tej kobiety i skąd ta zuchwałość i nieooględność w słowach jej dźwięczała.

— Czy pani nie rozumie? — zapytała z naciskiem żona Jakóba Mayot.

— Owszem! rozumiem — odpowiedziała Lea — lecz w umyśle moim jest jedna rzecz niewyjaśniona.

— Pani chce dociec, jaką rolę gram w tem wszystkiem i jaki jest mój cel.

— Tak jest.

— Myślałam, że pani posiada więcej zmysłu obserwacyjnego.

— Bo naprawdę... nie rozumiem.

— Pani przecie wiadomo kto jestem?

— Ale nie wiadomo mi, czem hrabia des Tournelles jest dla pani?

Twarz Romy rozjaśniła się na te słowa i Lea została uderzona widokiem jej rozpromienionych oczu.

— Ah! pani go kocha? — zawołała.

Roma uśmiechnęła się. Ale nie był to już ten gorzki i ironiczny uśmiech, szpecący jej usta. Była w nim radość i tyle ciepłego uczucia, że rysy jej twarzy uległy zupełnej zmianie.

— O tak! kocham go! — odpowiedziała przyciskając ręce do silnie bijącego serca.

I stała tak chwilę zatopiona i porwana marzeniem swej duszy.

— Ależ...—zaczęła Lea zdziwiona.

— Przypatrz mi się — zawołała żona Jakóba Mayot. — Włosy moje są białe i niejedna zmarszczka szpeci moją twarz! Ah! i ty żyć będziesz! kochać tak, jak ja żyłam i kochałam gorąco. I cierpieć będziesz także i płakać! Ale choć straszne będą te cierpienia i zawody, błogosławić będziesz to życie i dziękować Bogu za wszystko, jeżeli zniżając się ku starości, będziesz mogła zaznać radości matki!

— Więc hrabia jest...

— Moim synem.

Roma była zmieniona do niepoznania, — Lea uczuła dreszcz dziwny, przebiegający jej ciało.

Jednakże wrażenie to prędko uleciało i za chwilę już Roma spokojna, panująca nad sobą, spojrzała ostro na młodą dziewczynę.

— Dosyć już — rzekła twardo — nie poruszajmy zanadto przeszłości, kryją się w niej tajemnice, od których zawrotu głowy dostać można; myślmy lepiej o teraźniejszości. Chciałyśmy się poznać, nieprawdaż — zapewne sprawa nasza wymagać będzie powtórnego spotkania. Czy stawi się pani, jak ją zawezwę?

— Przyrzekam to pani — odpowiedziała Lea.

— A więc do widzenia...

— Tak jest... do widzenia.

— A może w dniu, w którym się zobaczymy, będę mieć ciekawe rzeczy do powiedzenia pani.

Kończąc te słowa, Roma przytknęła do ust mały srebrny gwizdek, z którego ostry dźwięk rozszedł się po mieszkaniu. Zanim jeszcze echo tego dźwięku przebrzmiało w pokoju, portyera rozsunęła się szybko i wszedł Karpol.

— Powóz! – rozkazała Roma.

Karpol znikł natychmiast.

Lea nie mogła się oprzeć zdziwieniu.

— Szczególny służący — zauważyła z pytającem spojrzeniem.

— Rzeczywiście – odpowiedziała Roma, narzucając gęsty welon na twarz. — Wzięłam go dla nadzwyczajnego jego przywiązania, które wielkością równać się może tylko jego brzydocie.

— Jabym się go obawiała.

— O! jestem zupełnie spokojna przy nim.

— Dlaczego?

— Bo mnie kocha, a miłość ta jest wierna i pokorna.



Tuż obok Rigola siedział rybak, któremu szczęście w łowieniu ryb nie zdawało się służyć!..

Roma uchyliła portyerę, skłoniła się Lei i wyszła.

Lea pozostała chwilę zamyślona, poczem potrząsnęła głową w szczególny sposób.

— W każdym razie — szepnęła — jabym się obawiała, bo zdaje mi się, że nie można nigdy dowierzać miłości potwora tego rodzaju. Phi! ale to jej rzecz! ja zaś powinnam się przekonać, ile prawdy mieściło się w słowach tej kobiety.

ROZDZIAŁ XII.

Dwaj rybacy.

Dla każdego człowieka, który krytycznem okiem obserwował Paryż, jasnem jest, że miasto to, szczególnie ożywione i hałaśliwe, kryje w sobie dwa odrębne zupełnie życia; jedno jawne, błyszczące—drugie skryte i tajemnicze. Płyną one obok siebie spokojnie bez potrzeby silniejszego oddziaływania na siebie. Są to jakby dwa światy, z których każdy posiada swoje własne tętno, własny ruch i ludzi, którzy w chwilach danych, ulegając tym niewytłómaczonym kaprysom losu, przyciągają się wzajemnie i pomagają sobie bezwiednie w prowadzeniu różnych tajemniczych spraw i interesów.

Paryż nocny przedstawia niezwykły widok, godny najbardziej wymagającego i rafinowanego obserwatora. Widok ten nie da się z niczem porównać. Lekkomyślność, spryt i wesołość grają tu niemałą rolę. Widz ma przed sobą publiczność, która z równem zamiłowaniem i gorączką bawi się, jak pracuje. Publiczność ta jest uprzejma, wylana, nadzwyczajnie gościnna i szczera bez zastrzeżeń! Taką jest powierzchownie. Ale zajrzyjmy do głębi...

Widzimy ożywione życie bulwarów, — ale nie wiemy, co się pod nimi kryje. A przecież w tym bezbrzeżnym ludzkim oceanie wre bezustannie praca, ruch przypływający i odpływający, jak fale morza, a w głębi tego ruchu odnajdziemy zadziwiające rzeczy. Są tam rozbicia gorsze od utonięć okrętów, bo ginie w nich nieraz nazwisko i honor najznakomitszych rodzin, są niebezpieczeństwa, czyhające na zbyt pewnego siebie i śmiałego nurka, którego jeden ruch fałszywy strąca na zawsze w przepaść nędzy i rozpaczy, na dno pełne wstrętnego kału i brudu.

W r. 1830 pan de Salvandy miał powiedzieć: „Tańczymy na wulkanie“. Dziś zaś możnaby śmiało powiedzieć: „Tańczymy na kanale“. By odróżnić te dwa życia, które wrą po ulicach Paryża, trzeba poznać i zejść do najniższych warstw i nor. Trzeba żyć wstrętnem i brudnem życiem ludzi tych bezdomnych, którzy w cuchnących kałem i wyziewami różnemi suterenach i podziemiach Paryża, rozwijają szeroko swe operacye finansowe — trzeba umieć mówić do nich i potrafić zjednać sobie ich szczerość.

Czynił to też Rigolo od pewnego czasu — tam przeniósł się z obserwacyami swojemi i poszukiwaniami. Znał on wszystkie podziemia nocnego Paryża z dokładnością, przewyższającą doskonałe wiadomości dorożkarzy, zdających egzamin z planu miasta i ulic. Rigolo nie tracił czasu. Od owego wydarzenia na ulicy Gabryela pozawiązywał wiele cennych znajomości, jednakże żadna z nich dokładnie nie doprowadziła do ostatecznego celu... Rigolo z uporem trzymał się podejrzenia, które powstało w jego myśli od pierwszej chwili popełnienia zbrodni na ulicy Monge. Przeczuwał, że mieszkańcy willi Senneterre grają pewną rolę w tym dramacie. Rigolo jednak był bardzo ostrożny i nie chciał jakimś nierozważnym krokiem zepsuć całej sprawy.

Przypadek bywa w częstych wypadkach bardzo pomocnym policyi. Rigolo również przez ostrożność nie widywał się z Jerzym Beraldi'm, obawiajac się obudzić niepotrzebne podejrzenie. Od czasu do czasu posyłał mu lakoniczny bilecik, w którym prosił o cierpliwość i o gotowość na każde jego zawołanie.

Rigolo działał zręczną taktyką. Chciał iść do walki dobrze uzbrojony i pewny siebie. Od kilku dni rzecz pewna intrygowała go mocno. Przedmiotem tego zaciekawienia był dom przy ul. Bourbon, ten sam, w którym Lea przed kilkoma dniami zniknęła w męskiem ubraniu.

Dwa dni po owem zdarzeniu Rigolo przebrał się za marynarza, przyozdobił piersi kilkoma medalami i spędził tak ustrojony kilka godzin naprzeciw numeru 36, zajęty bardzo łowieniem ryb na wędkę, trzymając w ustach niemożliwych rozmiarów fajkę.

Dom był bardzo piękny, była to wspaniała wila, która dawnymi czasy zwracać musiała uwagę przechadzających się nad brzegiem rzeki. Drzwi i okiennice domu były hermetycznie zamknięte; a sądząc na zewnątrz, dom ten musiał być niezamieszkany. Ale do kogo mógł on należeć? Nie wypadało zapytać się pierwszego lepszego, bo pytanie to mogło wywołać podejrzenie. Tuż obok Rigola siedział rybak, któremu również szczęście w łowieniu ryb nie zdawało się służyć. Od dwóch godzin, w których go obserwował, nie ułowił ani jednej nawet płotki.

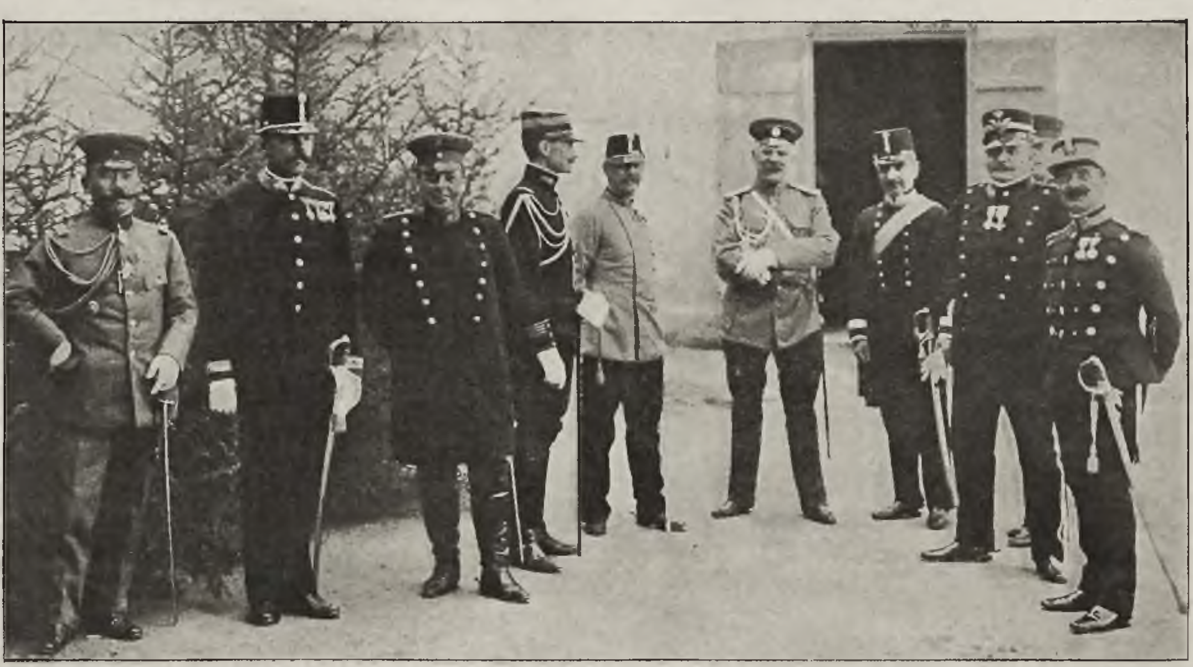
(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielkie manewry w Karyntyi.

Doniosłe znaczenie dla rozwoju armii, dla stwierdzenia jej wytrwałości, szybkości ruchów, a przedewszystkiem znajomości sztuki wojennej u głównodowodzących, mają wielkie manewry cesarskie, które odbywają się w rozmaitych stronach monarchii w pierwszych dniach września każdego roku. Udział w nich biorą zwykle dwa pełne korpusy armii w rysztunku wojennym, z których jeden obejmuje rolę nieprzyjaciela.

Tegoroczne manewry odbyły się w Karyntyi między XIV. korpusem z Insbruku, a III. z Gracu. Naczelne dowództwo spoczywało w tym roku w ręku następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Końcowe ćwiczenia odbywały się w obecności cesarza Franciszka Józefa, który mimo sędziwego wieku osobiście doglądał ruchów obu korpusów.

Nowością, wprowadzoną do manewrów od czasu wojny rosyjsko japońskiej są ćwiczenia nocne. Dawniej wszelkie prace wojska, wszelkie ćwiczenia i ruchy ustawały z zachodem słońca; wobec jednak wyników tej ostatniej wielkiej wojny, widziało się kierownictwo armii austryackiej zniewolonem przyzwyczajać żołnierzy do pochodów i do ćwiczeń w nocy. Zastosowano to z wielkim pożytkiem i doskonałymi rezultatami w tegorocznych manewrach.



Fot. A. Floeck, Wiedeń.
Wielkie manewry w Karyntyi: Wojskowi »attaches« Japonii, Niemiec, Francyi, Rosyi, Włoch, Anglii i Rumunii.

W każdorazowych manewrach cesarskich biorą udział wojskowi „attachés“ obcych, ale zaprzyjaźnionych z Austro-Węgrami państw, przypatrując się z zajęciem ćwiczeniom armii austryackiej. Jest tam więc przedstawiciel armii japońskiej, niemieckiej, francuskiej, rosyjskiej, włoskiej i rumuńskiej.

Główna komenda manewrującej armii miała swoją siedzibę w zamku w Celowcu w stolicy Karyntyi. Miejscowość ta, jak i cały kraj, jest prześlicznie położona, wśród gór wysokich i lesistych, poprzerzynanych malowniczemi dolinami.



Fot. A. Floeck, Wiedeń.
Wielkie manewry w Karyntyi: Naczelni dowódcy manewrów w Celowcu z ministrem wojny Schönaichem w pośrodku.



Fot. A. Floeck, Wiedeń.
Wielkie manewry w Karyntyi: Władze miejskie w Celowcu witają na dworcu następcę tronu Franciszka Ferdynanda.

Pierwszy socyalista w sejmie galicyjskim.

Wybory uzupełniające wprowadziły z okręgu zbaraskiego do sejmu galicyjskiego pierwszego posła socyalistycznego, członka ukraińskiej partyi socyalno-demokratycznej, Andrzeja Szmigielskiego.

Nowy poseł urodził się w r. 1868 we wsi Załuże, położonej w powiecie zbaraskim, gdzie dotąd gospodarzy na roli. Ludową szkołę ukończył w Zbarażu, a następnie kształcił się samodzielnie i w pracy nad sobą nigdy nie ustawał. Już w r. 1890 oddawał się życiu politycznemu. Wówczas wyznawał poglądy moskalofilskie. Lektura pism i broszur radykalnych wzbudziła w nim ducha opozycyi. Od r. 1892 głosił już zasady skrajnie radykalne, a w czasach ostatnich przyjął program socyalistyczny.

Mimo, że życie pędził na zapadłej wsi, wśród ciężkiej pracy chłopa, dzięki wytrwałemu samouctwu i wrodzonym zdolnościom, zaznajomił się z szerokimi horyzontami społecznej nauki. Wiele w tym względzie zawdzięcza (jak sam przyznaje) społecznej polskiej literaturze, którą zna obszernie.

P. Szmigielski wstąpi w sejmie do klubu ruskiego. Dla swego opozycyjnego programu wybrał więc miejsce odpowiednie, cały klub ruski bowiem, choć złożony z żywiołów bardzo rozmaitych, uprawia w sejmie okropną opozycyę.



Fot. M. Münz, Lwów.
Pierwszy socyalista w sejmie galicyjskim: Poseł Andrzej Szmigielski.

Kronika tygodniowa.

Oznaką, że „sezon ogórkowy" jeszcze się nie skończył, są szerokie, dokładne, wyczerpujące omawiania w naszych dziennikach „potwornej zbrodni" dokonanej na rosyjskim hr. Kamarowskim. Każda zbrodnia jest wogóle potworna, a więc jest potworna i ta, — ale trudno w niej dopatrzeć się czegoś nadzwyczajnego, dotychczas „niesłychanego", wymagającego zatem zwrócenia na siebie szczególnej uwagi ogółu. Motyw zbrodni był zwykły, wykonanie jej odbyło się w sposób „ogólnie dziś przyjęty". Tego rodzaju zbrodni, popełnionych z prostej chciwości, europejska kronika kryminalna liczy corocznie na setki, jeżeli nie na tysiące. A że moralna winowajczyni użyła do niej swego kochanka, to i to, niestety, są „zwykłe dzieje".

Jeżeli idzie o prawdziwie niezwykłą zbrodnię, o potworność, która rzeczywiście może przerazić, która bez przenośni „krew w żyłach ścina", bo dowodzi strasznego zdziczenia nie jakiejś jednostki lub kilku zwyrodniałych indywiduów, lecz całego olbrzymiego zastępu ludzi jednej warstwy, — to taką zbrodnią, taką potwornością było zamordowanie w Łodzi dyrektora Silbersteina. „Nowości" podadzą naturalnie osobno szczegóły tego morderstwa, więc tylko zwracam uwagę na fakt, że dokonało go, ściśle biorąc, 600 robotników. Jakkolwiek bowiem dwóch czy trzech położyło Silbersteina trupem, byli oni przecież tylko wykonawcami woli i „wyroku" ogółu robotników. Wszyscy robotnicy brali pośredni udział w morderstwie i w przygotowaniu do niego, w oczach wszystkich wreszcie spełniono zbrodnię. Żaden z nich nie protestował, żaden nie usiłował przeszkodzić morderstwu. Jeżeli szczegóły, podane przez dzienniki, są prawdziwe, to mamy do czynienia z jakimś dzikim szałem, ogarniającym całe tłumy, grożącym zanikiem wszelkich uczuć ludzkich, budzącym trwogę o przyszłość całego naszego społeczeństwa.

„Panie! — woła arcybiskup warszawski — dotąd prosiliśmy, byś nas ratował od nieprzyjaciół naszych, dziś błagamy, byś nas chronił od zbrodniczej ręki własnej braci".

A nieprzyjaciele nie zasypiają. Nawet tam, gdzieby się zdawało, że nie mają możności nam szkodzić, podnoszą hardo swe głowy i upominają się o swoje niby... prawa. Wspominaliśmy już w swoim czasie o organizowaniu się Niemców w Galicyi i o mającym wychodzić organie „Deutsches Volksblatt für Galizien". Obecnie już się ukazał drugi numer tego tygodnika. Znajduje się w nim artykuł „Auf zur That!" pióra p. Józefa Wiedmanna, posła na sejm bukowiński. Autor porusza w nim sprawę reformy ordynacyi wyborczej do sejmu galicyjskiego i radzi „niemieckim rodakom w Galicyi", aby nie zasypiali gruszek w popiele, lecz głośno i potężnie upominali się o swe „krzywdy". Panu Wiedmannowi zdaje się, że „świetlana jutrznia narodowego przebudzenia się Niemców w Galicyi zaczyna wschodzić", widzi „szczyty gór przy zbliżającym się poranku, lśniące złocistym blaskiem". Blask ten pana Wiedmanna widocznie oślepił, więc potknął się i upadł biedak na głowę. Zaczyna bowiem strasznie majaczyć o „uwolnieniu się" swoich rodaków od „jarzma niegodnego niemców niewolnictwa narodowego". Niemcy galicyjscy powinni, według niego, żądać szkół niemieckich i niemieckich kapłanów. To mało. „Chcemy i żądamy naszych własnych posłów (w sejmie galicyjskim), agitujących i czujących z nami, którzy znają bóle nasze i zastępować będą nasze prawo". Więc też powinni natychmiast powstać budziciele — niemieckie siedliska powinni obiegać heroldowie, zwołując przedstawicieli gmin na wielki wiec, aby tenże przedłożył sejmowi „konkretne żądanie, zawierające liczbę mandatów, jakiej Niemcy żądają i w jaki sposób mandaty te mają być zabezpieczone".

Pan Wiedmann mieszka na Bukowinie, nie może go więc niestety dosięgnąć ręka Kulparkowa. Przypuszczać jednak należy, że w Czerniowcach musi egzystować jakiś zakład hydropatyczny, więc może byłoby dobrze i szlachetnie dać znać marszałkowi sejmu bukowińskiego, że jeden z posłów jego kraju potrzebuje na gwałt kuracyi hydropatycznej. Wprawdzie może to już zapóźno, może zimne tusze na głowę już nic nie pomogą, ale nie zawadzi.

Stawiam również wniosek, aby numer „Deutsches Volksblatt'u" z artykułem nieszczęśliwego Wiedmanna posłać Björnsonowi. Znajdzie on w nim jeszcze sporo dla siebie innego materyału. Dowie się, że „uciśnieni" Niemcy chcą się łączyć z ukochanymi jego Rusinami, że Polacy polonizują szkoły i kościoły niemieckie itd.

Radziłbym również poprosić którego z uciśnionych Niemców, aby napisał *ad usum* Björnsona krótkie dzieje Galicyi z uwzględnieniem ostatnich stu lat ucisku Niemców przez Polaków. Uproszony autor nie omieszkałby zapewne dowieść, że Galicyę, prastarą prowincyę niemiecką, najechali Polacy i zniszczyli jej germańską kulturę, że starożytny Lemberg spolonizowali i nazwali Lwowem, że z Wawelburgu nad rzeką Weichsel (spolszczoną Wisłą) powyrzucali groby margrabiów niemieckich, że utopili królowę Vendę za to, że chciała iść za swego rodaka Niemca itd. Björnson jest zbyt naiwny, aby temu nie uwierzył, więc jako opiekun wszystkich narodów prześladowanych, będzie miał możność napisania nowej odezwy do ludów Europy w obronie uciemiężonych Niemców w Galicyi. A toby nam nie szkodziło, gdyby się ponownie skompromitował.

Wracając jeszcze do galicyjskiego „Deutsches Volksblatt'u" dowiadujemy się, że przybędą nam nowe święta narodowe. Każdorocznie 1 września ma być obchodzone uroczyście zwycięstwo pod Sedanem, każdego 10 września rozlegać się mają w Galicyi radosne śpiewy i okrzyki z powodu klęski Rzymian w Teutoburskim lesie, a każdego 28 tegoż miesiąca niemiecki rdzenny lud galicyjski uroczyście sławić będzie rocznicę poświęcenia narodowego pomnika, postawionego w Niederwaldzie, na cześć Wilhelma I., Moltkiego i Bismarcka. Wartoby jeszcze w tym samym wrześniu obchodzić pamięć zwycięstwa nad dziećmi polskiemi pod Wrześnią.

Kto zwycięży pod Poznaniem, dotychczas niewiadomo. Wielkie zastępy wojska, jak donosi „Dziennik Poznański", otaczają już półkołem silnie obwarowany Poznań. Założono olbrzymie obozy z namiotami, zbudowano nową kolej wązkotorową i kilka mostów przez bagniste doliny. Otoczeni nabojami strzelać będą z twierdy i fortów w dniu 20 b. m. Strzały te zostaną skierowane na nieprzyjacielską armię, „maskowaną przez figury z drzewa, z końmi i uprzężą; część tych figur będzie przymocowana do wozów kolei polowej poruszanych elektrycznością, aby sprawiały wrażenie maszerującego wojska". Jednem słowem będzie szopka w wyższym stylu.

Ha! każdy robi sobie taką szopkę, na jaką go stać. Zdobycie Poznania ma kosztować kilkanaście milionów, — ale „przecież to naród płacić ma", więc ktoby dbał o taką bagatelkę. Na tańszą szopkę zdobyli się panowie polscy w gubernii mińskiej. Naczelnik ziemski w Ihumeniu powziął myśl urządzenia wyścigów konnych... strażników policyjnych. Myśl wspaniała, epokowa, ale niestety przeprowadzenie myśli takiej nie mogło obyć się bez kosztów.

Samo urządzenie wyścigów wymagało pewnych wydatków, a przecież trzeba jeszcze zwycięzcom dać nagrody. Więc okoliczne polskie obywatelstwo pospieszyło z ofiarną na ten cel pomocą. Książe Mikołaj Radziwiłł dał 150 rubli, pan Aureli Janiszewski nadesłał 100 rubli, państwo Jodko-Narkiewicze ofiarowali rubli 70 itd. — dość, że zebrała się sumka wystarczająca na wiścigi. Ba! po opędzeniu kosztów i rozdaniu nagród pieniężnych pozostało jeszcze 91 rubli zwyżki. Sumy tej użyto zatem na poczęstunek zebranych widzów i uczestników wyścigu.

Czyby tak nie urządzić w Krakowie wyścigów naszych policyantów konnych? Mało mają zajęcia, szkapy dalibóg ładne, nie bardzo gorsze od tych, których na wiosnę dosiadują u nas dżokeje. Przytem tor jest gotowy. Co więcej, zdaje mi się, że cieszy się krakowska „konnica" prawdopodobnie nieco większą sympatyą, niż ihumeńscy strażnicy policyjni. A ponieważ dobry przykład zawsze zachęca, więc podziwiając mądrość, ofiarność, patryotyzm, dyplomacyę itd. obywateli mińskich, oświadczam, że w razie przyjścia do skutku wyścigów policyjnych w Krakowie przeznaczam na ten cel 25 halerzy (czem chata bogata) i nie żądam nawet jako widz poczęstunku.

Ze smutkiem za to muszę zaznaczyć, że jednej zabawy pozbawiono Warszawę. W ostatnich czasach urządzano w niej dość często konkursy piękności na różnych koncertach i widowiskach w Dolinie Szwajcarskiej, na Dynasach itp. Otóż policya położyła temu koniec. Dlaczego — nie wiem, ale przypuszczam, że towarzystwo na tych zabawach musiało się stawać za zbyt... jednostajne. Zapewne konkurs musiał ściągać damy... jednego zawodu, a prawdopodobnie i grono męskie składało się z samych prawie osób bliskich temu... zawodowi. Więc może niema czego rozpaczać, iż na tym punkcie Warszawa została ograniczoną w swych prawach czy potrzebach. Nawiasem mówiąc, te konkursy piękności wszędzie się już przejadły i skompromitowały. Można o tem sądzić choćby z tego, że nagrodzone piękności (o ile ich portrety podają pisma illustrowane) są po większej części dość brzydkie. Widocznie nawet i niektóre damy z „lepszych sfer..." tego zawodu, czują się na tych konkursach w „niedobranem" towarzystwie i dlatego nie biorą w nich udziału.

Roman Żelazowski.

Scena lwowska zyskała nową siłę i to siłę pierwszorzędną, artystę dramatycznego dziś w Polsce jednego z najwybitniejszych, Romana Żelazowskiego. Żelazowski znanym jest dobrze publiczności lwowskiej, gdyż przez szereg lat grał na scenie Skarbkowskiej, zdobywając swemi kreacyami



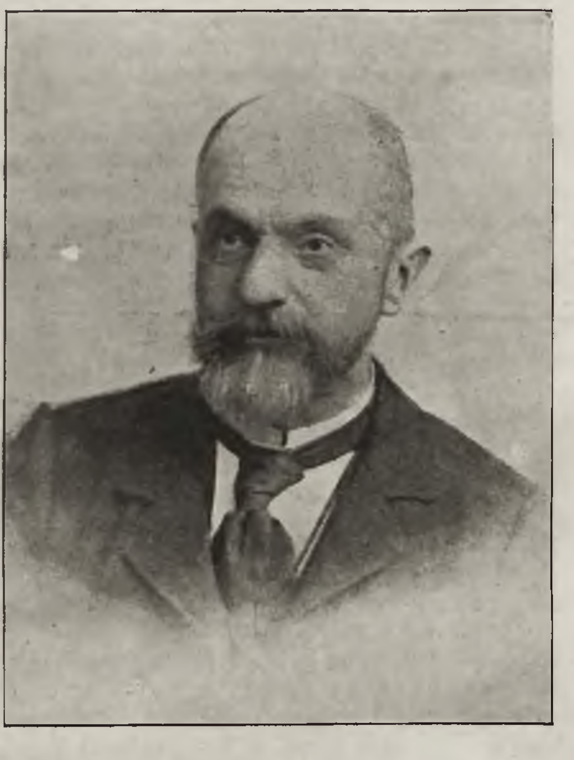
Roman Żelazowski.

jednogłośne uznanie. W rolach dramatycznych bohaterskich jest artysta ten wprost niezrównany.

W ostatnich latach był p. Żelazowski artystą teatrów warszawskich, gdzie talent jego znalazł również wielu zwolenników i przyjaciół. Wieść o przeniesieniu się tego znakomitego artysty do

Lwowa, wywołała też w Warszawie ogólny żal, a ostatni jego występ zamienił się w wielką, serdeczną owacyę.

Natomiast publiczność lwowska przyjęła fakt powrotu p. Żelazowskiego na scenę lwowską z szczerem zadowoleniem, i wdzięczną jest dyr. Hellerowi za jego starania około zdobycia dla teatru we Lwowie najwybitniejszych sił.



Nadużycia przy dostawach kolejowych: Dyrektor kolei w Stanisławowie, radca dworu, Gerard Festenburg.

Nadużycia przy dostawach kolejowych.

Od kilku tygodni stała się głośną sprawa nadużyć kolejowych w dyrekcyi kolei państwowych w Stanisławowie. Nadużycia te popełniano od szeregu lat w sekcyi konserwacyi toru Nr. 1, której szefem był inspektor kolejowy inż. Benedykt Siebauer. Stał on na jej czele od r. 1900 i rządził nią zupełnie samoistnie a jak się pokazuje obecnie, także bez żadnej prawie kontroli.

W kwietniu roku bieżącego odbyło się w sekcyi inspektora Siebauera szkontrum a to z okazyi oddzielenia od niej warsztatów blokowych, dla których należało wyłączyć ze wspólnego inwentarza pewną część materyałów. Wówczas wykryło szkontrum pewne braki w zapasach i dyrekcya kolejowa zażądała od inspektora Siebauera wyjaśnienia. Na to pan Siebauer, już po wyłączeniu materyałów dla warsztatów blokowych, zażądał od dyrekcyi przeprowadzenia dokładnego szkontra całej sekcyi i materyałów leżących w kilku składach. Dyrekcya przychyliła się do tego wniosku i przeprowadziła drugie szkontrum w sekcyi pana Siebauera w lipcu b. r., przyczem okazały się ogromne braki w materyałach drzewnych i innych, na ogólną sumę przeszło 100.000 koron.

Wtedy już zrobił się w dyrekcyi kolejowej stanisławowskiej rwetes, pokazało się bowiem, że materyały wciągnięte do dzienników sekcyi jako dostawione i odebrane, faktycznie wcale nie były dowiezione, albo też znikły jak kamfora. Z początku trudno się było w całej tej aferze zoryentować. Dostawcą materyałów drzewnych dla sekcyi był Leizor Wuhl, człowiek z kryminalną przeszłością, który pomimo to jednak, a nawet jak twierdzą, pomimo wyraźnego zakazu ministerstwa, po ogłoszeniu krydy, utrzymał się nadal przy dostawach kolejowych. Wuhl ten niedawno umarł a przedsiębiorstwo firmowała żona jego i syn, którzy obecnie są w posiadaniu kwitów na dostawione materyały, za które jeszcze mają pretensyę do dyrekcyi kolejowej.

Braki te mogły powstać w materyałach tylko za porozumieniem się organów odbierających z dostawcą, ponieważ zaś inspektor Siebauer nigdy sam ich nie odbierał, ale zlecał tę czynność personalowi w sekcyi zajętemu, odpowiedzialność zatem za braki te spada w połowie na podwładnych urzędników i podurzędników sekcyjnych, którzy też zostali zasuspendowani, podobnie jak i szef, inspektor Siebauer.

Obecnie toczy się dochodzenie z ramienia ministerstwa kolejowego, które wysłało do Stanisławowa komisyę, celem zbadania sprawy tej na miejscu. Obok tego toczy się dochodzenie dyscyplinarne przez dyrekcyę kolejową stanisławowską, oraz śledztwo sądowe w ścisłym związku z dochodzeniem administracyjnem będące.

Ofiarą malwersacyi tych padł już dyrektor kolei państwowych w Stanisławowie p. Gerard Festenburg, człowiek prawy, ale słaby, który ufając inspektorowi p. Siebauerowi, zbytnio mu pobłażał. Z inspektorem Siebauerem łączyły go mianowicie stosunki koleżańskie z ławy szkolnej a te są trwałe



Nadużycia przy dostawach kolejowych: Inspektor kolejowy Benedykt Siebauer.

i wiążą na całe życie. Obecnie rozpoczął dyrektor Festenburg urlop półroczny, z którego już więcej do służby nie powróci.

Z lwowskiego bruku.

(Początki końca sejmu galicyjskiego. — Co czuć w powietrzu? — Obstawienie gmachu. — Policya, wojsko, klucze. — Wata na wulkan. — Pan minister Derschatta a »Now. illustrowane«. — Festenburg jedzie na urlop. — Inne sensacye. — Samobójstwo studentki. — Pojedynek syna za ojca. — Teatralia. — Szkoła p. Kwiatkiewicza jako wylęgarnia geniuszów).

W tym tygodniu tj. w poniedziałek rozpoczął sejm swoje ostatnie obrady, a gmach sejmowy jest tak mocno obstawiony ze wszystkich stron policyą, jakby tam wewnątrz nie wiedzieć jakie rzeczy się działy. Mianowicie chodzi o zamierzoną reformę wyborczą... Dotychczasowi gospodarze sejmu zamierzają albo nie załatwić tej sprawy wcale, aby zostało tak jak jest, albo wprowadzić taką reformę, któraby się równała — zeru. Tymczasem do bram sejmu szturmują masy... Nie są to sami socyaliści. Nie trzeba być socyalistą, aby być zwolennikiem powszechnych wyborów. Idea powszechnych wyborów, przyjęta dziś w całym świecie kulturnym, ma i w Galicyi nieprzejrzane zastępy zwolenników, a bałamucenie opinii przez zapłaconych pismaków na nic się nie przyda. Czuć to w powietrzu, że dotychczasowy fundament zmurszały pęka i rozpada się stary gmach, aby ustąpić miejsca nowemu. A wulkanów nie zatyka się watą... Fala dziejowa przejdzie, pomimo że jej ktoś naiwny „podstawi nogę“. Więc te wszelkie próby zachowania dawnych porządków, wyłgiwanie się obawą przed wywrotem, muszą być uważane za — watę. Tak samo nie pomoże inspirowana rezolucya mieszczan lwowskich z ubiegłego tygodnia, którzy zebrali się w „Gwieździe“, aby zaprotestować przeciw powszechności wyborów. Ta kołtuńska niekonsekwencya lwowskiej Strzelnicy, której prezes i głowa p. Ciuchciński przed dwoma tygodniami w mowie kandydackiej bił się w piersi i zapewniał, że jako poseł sejmowy będzie walczył „o jak najdalej idące rozszerzenie reformy wyborczej do sejmu“, a w tydzień później tj. po wyborze na posła plół na powszechne wybory i z kołtuńskiem zacięciem oświadczył, że „me miszczany ni damy si wpakować do woreczka powszechnych wyborów“ jest nie już zwykłą kompromitacyą kołtunów lwowskich, ale prostym skandalem. Bo sprytni i praktyczni zresztą mieszczanie dali się tu tylko użyć za zwykłe narzędzie tym sferom, którym zależało na tem, aby pokazać opinii, że nie tylko sama szlachta, rządząca dotąd w sejmie, ale i mieszczanie, a więc „ogół“, zwalczają powszechne wybory. Tym górnym sferom mieszczanie nic nie pomogli ową rezolucyą, ale siebie i swoją „demokratyczność“, na którą się zawsze powołują, skompromitowali tak gruntownie, jak to tylko „lwowski kołtun“ potrafi.

Jak bardzo „ogół“ pragnie zachować dotychczasowy system wyborczy, świadczą pierwsze posiedzenia tej ostatniej kadencyi przy zamkniętych drzwiach. Nawet dla dziennikarzy zamknięto wstęp do loży dziennikarskiej, a żąda się osobnej legitymacyi, którą zatwierdzić musi... sam marszałek hr. Badeni. Przed sejmem policya, obok sejmu szpicle, w kasarniach skonsygnowane wojsko umyślnie *ad hoc* powołane z pola manewrów... Tak radzi parlament galicyjski... i tak chce „ogół“ i „opinia“. Ale nam się zdawało, że jeśli coś jest popularnem i zgodnem z opinią ogółu, to nie potrzebuje się kryć za bagnetami i zamykać wstępu dla publiczności i dziennikarzy, zwłaszcza że te bagnety i te szpicle i te zamknięte drzwi i te legitymacye i te kompanie wojska, że to wszystko jest tylko watą, nic, tylko watą... A watą nie zatka wulkanu...

Nie wiem, czy p. minister kolei dr. Derschatta czyta „Nowości illustrowane“, a tem mniej moją brukową paplaninkę, ale to wiem, że w tym tygodniu postąpił p. minister zupełnie tak, jakby moją poprzednią korespondencyę uważnie był przeczytał dwa razy, poskrobał się w ministeryalną głowę i napisał krótki list do p. Festenburga, dyrektora kolei w Stanisławowie: „Proś pan o sześciomiesięczny urlop, ażebyś się mógł przyzwyczaić do stałego stanu spoczynku“. W tym tygodniu — jak to w ostatnim liście przepowiedziałem (ja czasem bywam prorokiem jasnowidzącym) — p. Festenburg otrzymał nareszcie stały urlop, na który co prawda już dawno zasłużył.

Sensacyj mieliśmy — jak na początek sezonu — dość. Naprzód samobójstwo studentki, która zastrzeliła się przed drzwiami swego adonisa za to, że ją przerobił na niedoszłą matkę, a potem odtrącił. Przy tej sposobności sensacyożerni reporterzy nazwali siostrę samobójczyni „osobą złego prowadzenia się“, nie mając do tego zgoła żadnej podstawy i dosypując do ran zbolałej siostry sporo soli reporterskiej. Ale obowiązek nie zna litości. Dobry reporter chętnie osmaruje matkę rodzoną, a ciotki ciągle namawia do głośnej, sensacyjnej śmierci i cichego zapisania mu spadku.

Z innych sensacyj mieliśmy znów pojedynek, ale o tyle ciekawszy, że tu ojciec, jakiś „Machmerwas“ czyli ajent handlowy, posprzeczawszy się z innym kupcem, polecił swemu synalkowi, 19-letniemu technikowi, aby „wyzwał na pałasze tamtego, pomścił obrazę (z przeproszeniem) honoru ojca i zastrzelił przeciwnika szablą“. W takich sferach sprzeczki załatwiają się kopnięciem w odwrotną stronę albo wzajemnem opluciem się, ale nie strzelającemi szablami. Tu ojciec Machmerwas chciał pokazać, że jego syn umie „strzelać zy szabli“ i koniecznie namawiał syna do tej pojedynkowej awantury. Syn ujął się za ojcem, wyzwał przeciwnika i sam dostał takie cięcie w łokieć, że musiano go odwieść do szpitala, a może nawet trzeba będzie amputować młokosowi całą rękę. Honorowy ojciec musiał podobno zmieniać w dniu pojedynku trzy razy dolną garderobę, a teraz dzwoni zębami. Ale aferzysta znany nawet w sekcyi III., chciał sprawę kupiecką, rachunkową załatwić koniecznie... honorowo. Masz tobie honor...

Na koniec teatralia. Heller robi gwałtowne przygotowania, aby zamknąć usta krzykaczom. Adwentowicz zatrzymany, Żelazowski angażowany, opera ma zabłysnąć całym szeregiem gwiazd. Malawski idzie do Warszawy i żegna Lwów koncertem przy współudziale nieodżałowanej Ordon-Sosnowskiej. Kwiatkiewicz założył gniazdo geniuszów czyli szkołę dramatyczną, gdzie za marnych 25 k. miesięcznie każdego, o ile nie jest głuchoniemym, przerabia w krótkim czasie na skończonego geniusza i daje mu chleb w ręce, a skrzydła do ramion mu przypina. Pierwszą jego uczenicą jest własna żona, siostra Szuppki, która ubiegłej soboty debiutowała jako Rachel w „Weselu“ Wyspiańskiego z wielkiem powodzeniem. *Kl.*

Nowy lokal Banku hipotecznego.

Dzięki inicyatywie obecnych dyrektorów krakowskiej filii Banku hipotecznego, zyskał Kraków w samem śródmieściu, bo w Rynku, wspaniały, prawdziwie po europejsku urządzony lokal bankowy. Mianowicie filia galicyjskiego Banku hipotecznego nabyła w Rynku na rogu ulicy Brackiej dom, znany pod nazwą domu „pod czterema Ewangelistami“ i po gruntownem odrestaurowaniu go, tam przeniosła swoją siedzibę. Już na zewnątrz przedstawia się nowy lokal filii Banku hipotecznego bardzo okazale. Dom wysoki, trzypiętrowy, śnieżnej białości, zwraca właśnie tą czystością i białością już zdala uwagę. Ale szczególna uwaga należy się wewnętrznemu urządzeniu Banku, gdzie przy wprowadzeniu najnowszych urządzeń w zakresie techniki bankowej, umiano zatrzymać cały szereg zabytków wewnętrznych starego domu krakowskiego. Do nich należą w pierwszej linii wspaniałe, barokowe stiuki, na sklepieniu sali I. piętra, dalej modrzewiowe belkowe sufity z charakterystycznym sosrąbem. Według badań znawców, sala ze stiukami barokowymi, była kaplicą aryańską.

Z bankowych urządzeń zasługuje na uwagę główny skarbiec, mieszczący się w elektrycznie oświetlonej piwnicy, mającej ciosowe mury 3 mtr. grubości, a zatem dające dostateczną ochronę przeciw ewentualnym włamaniom. W piwnicy tej umieszczono też pancerne kasy ze schowkami dla stron prywatnych, pragnących w bezpiecznych skrytkach mieć papiery wartościowe, pieniądze i kosztowności. Dostępu do piwnicy bronią wertheimowskie drzwi żelazne. Bardzo pięknie przedstawia się hala parterowa, gdzie mieszczą się biura; wejście do nich stanowi bogato profilowany kamienny portal, oraz przedsionek, wyłożony marmurem. Z hali osobną wewnętrzną klatką schodową wchodzi się na I. piętro, do biur banku.

Filia Banku hipotecznego istnieje w Krakowie od r. 1868, otwarta w rok po powstaniu macierzystej instytucyi. Tę powołali do życia w r. 1867 we Lwowie Włodzimierz hr. Dieduszycki, Alfred hr. Potocki, Stanisław hr. Gołuchowski, Ludwik Skrzyński i Józef Kolischer. Obecnie stoi na czele instytucyi, jako prezydent Rady nadzorczej, Adam hr. Gołuchowski, poseł sejmowy.

Na czele filii krakowskiej, stali jako dyrektorowie kolejno: Antoni Bożewski, Konstanty Tchórznicki, Adolf Blumenfeld, obecnie zaś, od r. 1903, pp. Jan Winiarz i Karol Dołżycki. Prokurzystami są pp. Teodor bar. Théobald i dr. Karol Kolischer, oprócz nich pracuje w biurach filii kilkunastu urzędników.

Filia Banku hipotecznego rozwija się stale i coraz lepiej, działalność jej rozszerza się na coraz nowe gałęzie bankowości, jako zaś najstarsza w Krakowie krajowa instytucya finansowa cieszy się powszechną powagą. W nowym lokalu otwarto też dla wygody niezamożnej publiczności krakowskiej oddział zastawniczy, gdzie przyjmowane będą przedmioty złote, srebrne, drogie kamienie, papiery wartościowe, losy itd.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Nowy lokal Banku hipotecznego: Dyrektor Banku Jan Winiarz w swem biurze.

Sensacyjna tragedya w Wenecyi

(Do illustracyi na stronie 3 i 4).

Cherchez la femme — szukajcie kobiety, szukajcie jej jako winowajczyni — to stare, odwieczne przysłowie francuskie znaleść może doskonałe zastosowanie w sensacyjnej tragedyi romantycznej, jaka przed kilkunastu dniami rozegrała się w Wenecyi. Spełnioną tam została krwawa zbrodnia, której ofiarą padło życie ludzkie. Oprócz zamordowanego są ofiarami sprawcy czynu, ofiarą jest złamana przyszłość dwu młodych ludzi. A przyczyną, która losy tych obcych sobie zresztą ludzi sprzęgła i powiązała ze sobą, która jednego z nich pozbawiła życia, a dwu innych popchnęła na drogę zbrodni, była kobieta.

Niby wątek kryminalnego, a tajemniczego romansu snuje się przebieg tej tajemniczej afery, której początku szukać trzeba w Kijowie, a końca w Wenecyi. Tam to, w prastarej stolicy dożów, w tej prześlicznie nad modremi falami Adryatyku rozłożonej Wenecyi, padł od kuli rewolworowej bogaty arystokrata rosyjski, hr. Kamarowskij. Sprawca zbrodni, młody, przystojny Rosyanin Naumow, został wnet potem ujęty w Weronie i odstawiony do więzienia św. Marka w Wenecyi.

Kiedy krwawa ta zbrodnia wyszła na jaw, nie przypuszczano, że jest ona epilogiem niesłychanie powikłanej intrygi miłosnej, nieprzypuszczono też, że sprawca śmierci hr. Kamarowskiego był tylko narzędziem w ręku dwojga ludzi, pałających ku sobie namiętną miłością i chcących tę miłość zado-



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Nowy lokal Banku hipotecznego: Hala kasowa banku i wszystkie likwidatury.

kumentować śmiercią i nieszczęściem tych, co im stali na przeszkodzie. Stało się to jawnem dopiero wówczas, gdy śledztwo wskazało jako współwinowajców Naumowa, piękną, młodą Rosyankę panią Tarnowską i jej kochanka, adwokata kijowskiego Priłukowa. Oboje oni zostali uwięzieni przez policyę wiedeńską.

Toczące się i dotychczas nieskończone śledztwo sądowe karne, wydobyło na jaw następujące szczegóły tragedyi. Bohaterka romansu, Tarnowska, jest żoną obywatela gubernii czernichowskiej, potomka jednej z tych niewielu rodzin polskich, które zruszczyły się po odpadnięciu zadnieprzańskiej Ukrainy od Polski. Z domu O'Rourke, z rodziny pochodzenia irlandzkiego, kobieta nadzwyczajnej piękności a zalotna, królowa kilku kontraktów kijowskich, była już raz bohaterką krwawego dramatu. Mąż jej bowiem, powodowany zazdrością, zastrzelił pewnego Warszawianina, który jawnie jej nadskakiwał. Odtąd tez pożycie Tarnowskich stało się jak najgorsze i przyszło do procesu separacyjnego. Sprawę Tarnowskiej prowadził w Kijowie adwokat Priłukow. Znajomość urzędowa przeszła wnet w bliski stosunek miłosny, który doprowadził do ucieczki Priłukowa z Tarnowską, głównie z tego powodu, iż Priłukow pokrywając nadmierne wydatki uroczej i kapryśnej kochanki, dopuścił się defraudacyi na szkodę swych klientów. W r. 1896 bawili Priłukow i Tarnowska w Wiedniu, a następnie w Paryżu. W następnym roku poróżnili się i Tarnowska podróżowała sama. W owym to czasie zaznajomiła się ona z hr. Kamarowskim, bogatym wdowcem z Rosyi, który zakochał się w swojej uroczej rodaczce i powziął zamiar poślubienia jej. Z narzeczoną zawitał do Berlina, gdzie znalazł się niespodziewanie i Priłukow. Odnowiona znajomość odnowiła i niewygasłe uczucia. Tarnowska, choć utrzymywana przez hr. Kamarowskiego, obsypywana przez niego pieniędzmi, klejnotami i otoczona zbytkiem, darzyła względami swego dawnego kochanka. Podówczas to zjawił się na widowni jeszcze jeden wielbiciel złowrogiej piękności, młody Rosyanin Naumow. Zakochał się on szalenie w Tarnowskiej i leciał za jej cieniem, nie przypuszczając pewnie, iż miłość ta złamie mu życie...

Priłukow dowiedział się o rozkochanym młodzieńcu od Tarnowskiej i postanowił użyć go jako narzędzia do pozbawienia życia hr. Kamarowskiego; przypuszczał on, iż gdy hr. Kamarowski zginie, a jego zabójca pójdzie do więzienia, on posiędzie niepodzielnie Tarnowską, a wraz z nią olbrzymi spadek po Kamarowskim. Aby zaś plony zbrodniczego czynu były obfitsze, nakłonił hr. Kamarowskiego za posrednictwem Tarnowskiej i na jej rzecz do ubezpieczenia się w jednem z towarzystw na 500.000 koron. Kiedy wszystko było przygotowane, przedstawił Naumowowi, iż rywalem jego jest Kamarowski. Ten bawił podówczas w Wenecyi. Naumow podążył za jego śladem i wdarłszy się do jego mieszkania, kilku strzałami z rewolweru zranił go tak ciężko, iż ten wnet potem ducha wyzionął. Morderca zdołał początkowo ujść i skrył się w Weronie; tam go jednak wyśledzono i aresztowano. Wnet potem policya wiedeńska wpadła na ślad współwiny Priłukowa i Tarnowskiej i oboje uwięziła.

Śledztwo tej dramatycznej afery nie prędko zostanie ukończone. Raz dlatego, że toczy się ono w dwu miejscach, w Wenecyi i Wiedniu, powtóre dlatego, że Priłukow i Tarnowska zeznania swe wciąż zmieniają i cofają. Wina ich jednak nie ulega już dziś wątpliwości. Świadczą o tem liczne dowody zebrane w czasie dochodzeń, świadczą wreszcie ich własne zeznania, jakkolwiek w toku śledztwa cofnięte. Za czyn swój odpowiadać będą najprawdopodobniej w Wenecyi, tam bowiem zbrodnia została spełnioną.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis

Nowy lokal Banku hipotecznego: Dyrektor Banku Dołżycki w swem biurze.

Nowy gmach „Sokoła“ w Kałuszu.

(Do illustracyi na stronie 4).

Gniazdo sokole w Kałuszu wzniosło w tym roku kosztem około 60.000 kor. wspaniały gmach dwupiętrowy, który będzie prawdziwą ozdobą tego malowniczo położonego miasta. W niedzielę 8 b. m. nastąpiło uroczyste poświęcenie nowego budynku, przy udziale Sokolstwa polskiego z okolicznych gniazd, delegatów okręgu, Związku, Sokoła-Macierzy, oraz licznego zastępu miejscowej inteligencyi.

Uroczystości rozpoczęły się nabożeństwem w kościele parafialnym, poczem około 12-ej w południe wszyscy uczestnicy podążyli pochodem przed nowy gmach Sokoła. Aktu poświęcenia dokonał proboszcz kałuski ks. kanonik Szeligiewicz, poczem przemawiali imieniem Związku sokolego i Sokoła-Macierzy p. Janikowski ze Lwowa, imieniem wydziału okręgowego p. Wierzeyski ze Stanisławowa, imieniem miasta burmistrz Fuss, wreszcie prezes gniazda kałuskiego sędzia Kosacz.

Po poswięceniu gmachu, odbył się w obszernej nowej sali wspólny obiad na 200 osób; w obiedzie wzięli udział prócz Sokolstwa, polscy włościanie z okolicy. Zebranie ożywiały liczne toasty, na cześć idei sokolej, na zgodę wśród Polonii we wschodniej Galicyi, na cześć i zdrowie wybitnych działaczy. Dalszym punktem programu uroczystego dnia był wspaniały festyn w miejscowym parku; najbardziej interesującym punktem i punktem istotnie pięknym tej zabawy były ćwiczenia dziarskiej drużyny sokolej. Przedstawiono ćwiczenia wolne, maczugami, na drabinkach i lancami. Wszystkie wypadły wspaniale i wryły się widzom w pamięć.

Na zakończenie odbył się w dużej sali Sokoła uroczysty wieczór z bardzo urozmaiconym programem, przy współudziale chóru sokolego oraz kilku wybitnych sił amatorskich. Po wieczorku rozpoczęły się ochocze tany, które trwały do białego dnia.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis. Kraków

Nowy lokal Banku hipotecznego: Stalowa kasa pancerna w podziemiach gmachu. Obok dyrektor Dołżycki.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

16 Ciąg dalszy.

— Słuchaj Fryc. Jesteś niby mądry, a głupstwa pleciesz. Cóż mi Saint-Briac może zrobić? Nic. Zwłaszcza teraz będzie do niczego, bo złamany niepokojem o los swej ukochanej. Mnie zależało na tem, aby tok śledztwa wstrzymać, bodaj na jedną dobę. Malverne, otrzymawszy list, nie będzie miał humoru do przesłuchiwania świadków. Będzie się wściekał, zakipi złością i zazdrością i pod pozorem choroby odroczy przesłuchanie świadków bodaj o jeden dzień, a tego nam trzeba. Najważniejszym świadkiem byłby tu ten chory pies Trofimowicz, ale on już chyba nie zobaczy światła dziennego. Poza tem największe niebezpieczeństwo, to Szasza. To szczenię rosyjskie trzeba czemprędzej usunąć, a na to trzeba mi czasu do jutra.

— Czy Hans ma głowę na karku?

— Jak my obaj.

— Czy już przygotował wszystko?

— Doskonale mu się udało. Gospodyni barona zamówiła jarzyny na szóstą. Hans udał handlarza jarzyn i poszedł do niej z doniesieniem, że tamten handlarz nie może przyjechać i jego prosił, aby go wyręczył. ale on tylko o trzeciej przyjechać może, bo później ma czas zajęty.

— Zgodziła się na to?

— Zgodziła się, boć jej to wszystko jedno. Hans zaniesie trzy paki z jarzynami i gdy gospodyni będzie je odbierała, ty rozprawisz się z Szaszą. Nożem w pierś, a prosto w serce, aby nie jęknął, potem we worek i do pustej paki z jarzyn.

— Możeby zostawić to szczenię zakłute?

— Co też pleciesz? Zostawimy zakłute, toć nowy gwałt, zamęt, nowe podejrzenia. Jawne morderstwo. Gdy je zabierzemy, mogą myśleć, że znikł, że go kto porwał. Ale kłuj tak, żeby krew nie została na miejscu. Chwyć za gardło, zduś, gębę zatkaj szmatą, potem na kawał grubego koca; nóż w pierś i prędko z kocem do worka i do paki.

— O mnie bądź spokojny, to dla mnie nie nowina, byle Hans się dobrze sprawił.

— Czy tylko oni pójdą? co?

— Ale tak, tak. Bądź spokojny. Doktor zakochany w tej dzierlatce z wieży, więc z miłości dla niej, pójdzie na pogrzeb. Baron z przyjaźni dla doktora, no i z grzeczności dla dzierlatki, która teraz u niego mieszka. Ułożyli tak, że Szasza zostanie pod opieką gospodyni i to w jej mieszkaniu, aby mu się nie nudziło i był bezpieczniejszy. Na pogrzeb go nie biorą, bo chłopak aż się rozchorował, gdy go na grób matki zawieziono.

— A Saint-Briac?

— Nie wychodzi z domu. Porządkuje papiery, przygotowuje się do pojedynku, z nikim widzieć się nie chce.

— Zrobimy dobry interes. Namówiłem tę głupią gęś rosyjską, aby sprzedała Werię. Usłuchała mnie i przywiozła do Paryża blisko milion rubli w banknotach. Chciała je tu w banku deponować, na imię Szaszy. Uparła się przytem. No, jakże miałem zrobić? co? Poszła z wieży na bruk, skoro nie chciała dobrowolnie powierzyć mi pieniędzy. To szczenię chciałem także wyrzucić, ale mi przeszkodził właśnie Saint-Briac swoją schadzką. Teraz już nie będziemy potrzebowali hazardować za zielonym stolikiem, ani w kuźni. Ale, ale, czy jest jeszcze co do zmiany u Fryca?

— Jeszcze się z tysiąca franków nie wyrachował. Powiada, że jeszcze nie zmienił.

— Co zrobisz z tym czyżem, coś go złapał?

— Z malarzem?

— A, tak.

— A niech sobie siedzi. Nie wydostanie się z klatki, żeby pękł. Zdechnie z głodu tak, jak ten pies rosyjski Trofimowicz.

— Damy im jeszcze pakę ze szczeniakiem.

— Wszystkich razem do lochu. Teraz jeszcze do malarza nie pójdę; niech się przegłodzi i osłabnie. Jutro go zepchnę do lochu, wraz z paką ze szczeniakiem. Nim kto ich znajdzie, będziemy dawno za morzem.

— Jak wszystko będzie gotowe, Hans zostanie i dom sprzeda. O nim nikt tu nic nie wie. Mają go tu za uczciwego filistra. A szelma mówi po francusku, jak urodzony mieszczuch paryski.

— Jutro o tym czasie będzie po wszystkiemu.

— No, teraz chodźmy. Pilnujże tych waryatów na ulicy Cassette i Hansa, a ja do klubu. Do ostatniej chwili muszę usuwać od siebie podejrzenia. Dziś będę przegrywał.

— No, możemy sobie zaśpiewać:

„Lieb Vaterland, kannst ruhig sein,
Fest steht und treu die Wacht am Rhein“.

— Mamy w lochu słowiańską świnię i francuskiego indora. Hurra!

Rozmowa ucichła. Słychać było łoskot drzwi zamykanych, a wnet potem zatrzaśnięcie bramy. Fabrequette zdrętwiał. Doznawał takiego rozdrażnienia nerwowego, jakby go najgwałtowniejsza ogarnęła febra. Trofimowicz, który nic z rozmowy nie rozumiał, instynktowo odczuwał coś groźnego, bo poznał głos ojczyma Szaszy.

Kilkanaście minut upłynęło, zanim Fabrequette opanować się zdołał. Dobył flaszki z absyntem, pociągnął łyk spory, dał Trofimowiczowi, potem wyprostował się, zacisnął pięście i syknął:

— Biada wam łotry. Ocalić dziecko, a ich na szubienicę.

Ujął Trofimowicza za ramię i rzekł:

— Chcą zabić Szaszę; rozumiesz? Szaszę chcą zabić, jutro.

Trofimowicz zrozumiał.

— Panno najświętsza! Boże wielki! — i łzy mu popłynęły strugą.

— Słuchaj stary, rób co ci powiem. Bóg pomoże, ocalimy dziecko. Chodź za mną.

Zeszli po schodach ku drzwiom żelaznym od jakiegoś podwórka. Ciężkie były, okute silnemi sztabami, zasunięte ciężkimi zasuwami. Fabrequette daremnie się wysilał, żeby je odsunąć, ale Trofimowicz odsunął je łatwo.

— Ty stary zdusiłbyś niedźwiedzia.

— Co?

Malarz pokazał mu na migi.

Rozwarli drzwi z wysileniem, ciężkie, zardzewiałe. Za drzwiami małe podwórko i kawał muru. Fabrequette roześmiał się z radości. Słyszał wyraźnie gwar miejski zdala, więc mur do ulicy przytyka. Zdjął sznur, którym był obwinięty, przywiązał na końcu ciężki pędzel, który miał z sobą i pędzlem rzucił w górę, aby sznur o dachówki muru zaczepić. Pociągnął. Sznur spadł i ściągnął kawał dachówki.

— Tak się nie uda. Stań stary pod murem. Tak. Dobrze.

Malarz wydrapał się Trofimowiczowi na ramiona i stanąwszy na nich, sięgnął głową do szczytu muru. Ulica! ulica! Co za radość! Zeskoczył. Zawarł drzwi. Dobierał klucza i dobrał szczęśliwie; zamknął je teraz na klucz z pomocą Trofimowicza.

— Może przecież nie będą jutro oglądali, czy zasuwy zasunięte. Ej, nie będą mieli na to czasu, ani głowy, myśląc o mordzie i ucieczce. Teraz przez mur. Stawaj stary pod murem. Tak. Trzymaj się dobrze.

Stanął na ramionach Trofimowicza, zaczepił sznur silnie o dachówki, mur pokrywające, ujął się dachówek i stanął na murze, sznur podał Trofimowiczowi.

— Trzymaj się mocno, opieraj nogami na węzłach. Dobrze. Dawaj ręce. Już. Siadaj na murze, odpocznij. Teraz zesuwaj się po węzłach i stań pod murem. Dobrze. Chwała Bogu. Uważaj, ja ci skoczę na ramiona. Doskonale, udało się. Stanęli obaj za murem, na ulicy.

Na ulicy pusto. Była to wąska przecznica, którą nikt nie chodził. Fabrequette podskoczył z radości, Trofimowicz doznał osłabienia z wrażeń i głodu, ale krzepił się jak mógł. Odczepili sznur z muru i mieli już odejść, gdy dwóch żołnierzy policyjnych przyskoczyło do nich.

— A ptaszki; w biały dzień kradniecie. Na strażnicę.

— Proszę przyzwoicie; nie jesteśmy złodziejami. Jestem Fabrequette, artysta-malarz — a to mój przyjaciel, Rosyanin. Byliśmy w jaskini łotrów.

— Szkoda czasu. Prędzej z nami.

— Owszem, owszem. Będę bardzo szczęśliwy, gdy się spotkam z panem prezydentem policyi, bo dowie się odemnie ciekawych rzeczy. Nas uczciwych ludzi policya aresztuje, a tu pozwala gnieździć się łotrom w tym domu. Tu jaskinia mordów.

— O tem potem. Naprzód!

— Dobrze, dobrze. Byleście panowie dali nam dobrą kolacyę, bo ja od wczorajszego obiadu nie jadłem nic, a mój przyjaciel podobno od czterdziestu ośmiu godzin.

Fabrequette wolał policyę, areszt chwilowy, niż śmierć głodową, a i Trofimowicz nabrał ducha. Ale zaczęła ich nękać obawa, czy zdołają przekonać policyę o zamierzonym zamachu, czy znajdą wiarę. A nuż sprawa się przeciągnie i tymczasem Szasza padnie ofiarą?

VIII.

Gdy druga noc minęła, a Fabrequette nie wracał do domu, Kosiński niepokoił się niezmiernie i szukał przyjaciela po całym Paryżu.

Kosiński był pełnym poezyi; spokojny, cichy, nieco zagłębiony w sobie; zawsze poważny i rozważny, szczery i serdeczny w przyjaźni. Utalentowany bardzo, należał do najwybitniejszych między tymi, co przybyli z różnych krain Europy do Paryża, aby uzupełnić wykształcenie studyami bogatych zbiorów i galeryi. I ten prawdziwy artysta, ten bardzo stateczny i głęboko wykształcony człowiek, upodobał sobie łobuza, polubił go i był mu wiernym przyjacielem. Szczerość, uczciwość Fabrequetta pociągały go, a wesołość ożywiała.

Nie znalazłszy ani śladu roztrzepańca śród kolonii malarskiej, nie spotkawszy go nigdzie w knajpkach cyganeryi artystycznej, szukał go w domu barona, u doktora, a gdy i tu o nim nic nie wiedziano, prócz tego, że się miał udać na ulicę Marbeuf, Kosiński postanowił naradzić się z baronem i doktorem, co czynić, aby malarza wyszukać. Poszedł ponownie na ulicę Casette, zjadłszy obiad, ale barona już nie zastał. Było już koło godziny trzeciej, baron wyszedł przed kwandransem, na pogrzeb dzwonnika.

Gdy Szasza ujrzał Kosińskiego, ucieszył się niezmiernie i rzucił mu się na szyję.

— Niech pan zostanie u nas. Ja sam jestem z gospodynią. Wszyscy poszli, mnie wziąć na pogrzeb nie chcieli. Zostań pan ze mną. Byłem wczoraj na cmentarzu, na grobie mamy. Pan wie, zamordowana! Moja mama nie żyje! Panie, ja już nie mam ani ojca, ani matki...

Zapłakał chłopaczek i łkał rzewnie. Kosiński przytulił go do piersi, uścisnął serdecznie i rzekł łagodnie:

— I ja jestem sierotą.

— Czy panu także zamordował kto rodziców?

— Ojca mi zabito, a matka z żalu umarła.

— A kto zabił ojca?

— Zginął na wojnie.

Ciekawy Szasza zasypywał Kosińskiego pytaniami i słuchał z wielkiem zajęciem opowiadań malarza, aż znużony wrażeniami, których od tylu dni doznawał i nieprzespaną nocą po odwiedzeniu grobu matki, zasnął spokojnie. Kosiński wyszedł do drugiego pokoju, zapalił cygaro i czekając na barona, puścił wodze myślom, wspomnieniom, przyczem spoglądał przez otwarte drzwi na śpiącego chłopca. Sierota pokochał sierotę.

Rozmyślania przerwało mu wejście gospodyni.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł. Chłopczyna nudził się ze mną, chociaż zabawiałam go, jak mogłam. Przyjechał wóz z jarzynami, muszę je odebrać i umieścić w piwnicy; niech pan zostanie, dopóki nie wrócę.

— Ależ najchętniej; wszakże muszę czekać powrotu barona.

W chwilę po wyjściu gospodyni, usłyszał Kosiński, że drzwi pierwszego pokoju, w którym spał Szasza, ktoś ostrożnie otworzył i wszedł cicho, jakby się skradał. Zerwał się i spieszy zobaczyć, co to być może, gdy jakiś człek rzuca się z kocią zręcznością ku Szaszy i mierzy sztyletem w pierś dziecka. Już sztylet spadał na śpiącego, gdy Kosiński pochwycił rękę mordercy.

Napastnik wyrwał się malarzowi wysilonym ruchem i z błyskawiczną szybkością zadał mu cios sztyletem w piersi. Kosiński zachwiał się, ale nie upadł; sztylet trafił przypadkowo na duży medalion z Matką Boską Częstochowską, który malarz nosił na piersi, zawieszony mu niegdyś przez matkę. Napastnik ponownie rzucił się na Szaszę, a Kosiński, wyprostowawszy się, obiema rękami ujął zbrodniarza, odepchnął go od dziecka i usiłował wyrwać mu sztylet. Zaczęło się mocowanie. Kosiński młody i silny, ale przeciwnik zręczniejszy, wprawniejszy, zaczyna brać przewagę; wyrywa się malarzowi i uderza silnie sztyletem w piersi. Kosiński runął na podłogę, krew z piersi jego sączyć się zaczęła.

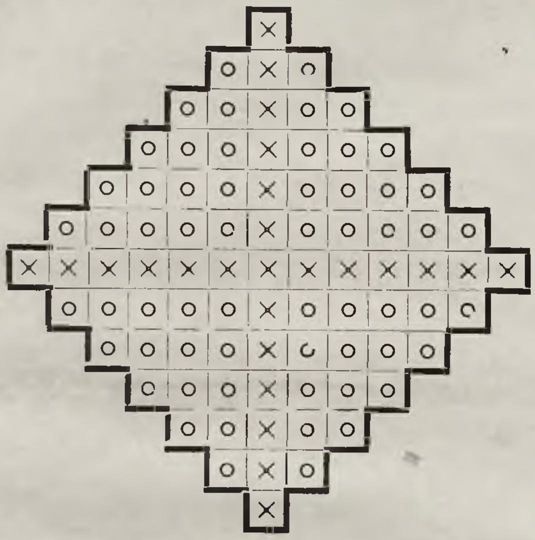
(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadka do nagrody.

Kryptogryf.

Ułożył. L. Wygrzywalski Kraków.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe czytane z góry, jakoteż wiersz siódmy, dały imię i nazwisko popularnego bohatera powieści kryminalnych.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Oznaka płaczu. 3. Broń. 4 Półwysep północnej Ameryki. 5. Słynny bandyta. 6. Szczyt górski w Kordylierach. 8. Pisarz polski z XVI. wieku. 9. Tytuł poematu Słowackiego. 10. Rodzaj utworów poetycznych. 11 Owad. 12. Zaimek. 13 Spółgłoska.

Szarada.

Ułożył Stefan Szpunda Skała

Pierwsza i trzecia mężczyznę
Czyni okazałym,
Druga, trzecia biegną w dale
Wzdłuż po świecie całym.
Trzecia, pierwsza zwierzę wodne,
Znane jest każdemu.
Całość — mąż władzy i sławy
Chwała i cześć jemu.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy »Odyseję« L. Siemińskiego.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności

Rozwiązanie zagadek z Nru 36.

Kwadrat magiczny.

Kreta, Rodan, Edykt, Faksa, Antał.

Kryptogryf.

Józef Joachim.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Kalita Gawłuszowice, J. Jastrzębska Lublin, F. Michalski Kraków, »Związek akademicki« Kraków, W. Czerkawski Przeworsk, R. Wiśniewski Kraków, K. Jabłoński Stanisławów, Cellerin Bukowsko, H. Leligdowicz Fraga, R. Jaworski Lwów, A. Miecik Trembowla, J. Badura Rożdzień, Z. Muszyński Krosno, Z. Malski Lwów, M. Arbesbauer Lwów, »Urząd pocztowy« Starzawa, J. Jaroszyński Błudniki, F. Niepokój Krosno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. R. Jaworski, Lwów; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.